



PAWEŁ HOSTOWIEC

DZIENNIK

PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC



INSTITUT LITERACKI
RZYM 1946

D Z I E N N I K

PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

PAWEŁ HOSTOWIEC

DZIENNIK

PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946



I. 317.975



Innsbruck. Miasto stosunkowo mało zniszczone. Mniej więcej jeden na 10-12 domów zburzony przez bomby wybuchowe, rozrzucone równomiernie na cały obszar miejski.

Większe szkody przyniosło zubożenie i dezorganizacja życia przez wojnę. Gruzy uprzątnięto jeszcze w czasach gorączki hitlerowskiej, ale ocalałe domy stoją smutne i zaniedbane. Część okien zaszalowano deskami, wstawiając w nie pośrodku niewielką szybę w drewnianej ramie. Rodzaj rembrandtowskiego półmroku zaściela ubogie wnętrza. Mimo nadchodzącej zimy nie widać, aby naprawiano lub odnawiano uszkodzone domy.

Prócz składów spożywczych, sprzedających towary racjonowane, pochodzenia amerykańskiego, wszystkie witryny zabite deskami.

Innsbruck był niegdyś ośrodkiem katolickiego ruchu politycznego, z którego wyszli ks. Seipel, Dollfuss i Schuschnigg. Po samorzutnym rozwiązaniu w Rzeszy katolickiego Centrum w r. 1933, ruch ten słaby tylko opór stawiał hitleryzmowi. Dopiero pierwsze klęski niemieckie obudziły w Tyrolu rodzaj biernego oporu, zwłaszcza na wsi. Niejeden z przekradających się na Zachód Polaków znalazł przytułek i pomoc u chłopów tyrolskich.

Już pierwszy kontakt z miastem wskazuje, jak mało zostało dziś z dawnego podziału obszaru germańskiego na kraje posiadające odrębne dialekty, tradycje historyczne, kulturalne i państwowe. Na próżno pytam przechodniów o jedną z bocznych, lecz znanych ulic, gdzie mam się zgłosić do znajomych. Nikt jej nie zna. W ustach przechodniów słyszę akcent wiedeński, saski, berliński, nawet hannowerski, trafiam na Słowaków, Jugosłowian, Ukraińców, Polaków. Wszyscy są tu obcy. Wreszcie pewien uczynny wędrowiec objaśnia, że o informacje należy się zwracać do kiosków z gazetami, bo tylko ich właściciele pochodzą z miejscowej ludności.

Wojna wywołała w Niemczech ogromne przemieszczenie ludności. W Innsbrucku ludność napływowa dzieli się dziś na trzy grupy. Są to bądź t.zw. «Bombenfrischler», Niemcy zamożniejsi, przybyli podczas wojny z bombardowanych miast Rzeszy, bądź jeńcy i robotnicy, przywiezieni przymusowo z różnych krajów Europy Wschodniej, bądź wreszcie napływający wciąż nowi uchodźcy z zony sowieckiej. Przyjście wojsk angielskich i amerykańskich wywołało tu przewrót społeczny. Cudzoziemcy, zamknięci w obozach i barakach i stojący na samym dnie drabiny społecznej, wyszli na miasto i zajęli mieszkania, opuszczone przez ukrywających się członków partii n.-s. Wille i zbyt kosztowne apartamenty miejskie zarekwirowały wojska okupacyjne, cudzoziemcy zajęli mieszkania skromniejsze. Obecnie przypada w nich mniej więcej jedna rodzina na pokój.

Władze okupacyjne ulegalizowały stan rzeczy, powstały z przewrotu. Jeńcy, deportowani i uchodźcy, mieszkający w obozach, przeszli na utrzymanie UNRRA. Mieszkający prywatnie dostali przydział kartek żywnościowych i zatrzymali mieszkania.

Od przyjścia wojsk anglo-amerykańskich liczba obcych zmniejszyła się wydatnie. Większość wyjechała do krajów swego pochodzenia. Zostali jedynie właściwi emigranci, którzy

do kraju wrócić nie chcą lub nie mogą: Polacy, Ukraińcy, Bałtowie, Jugosłowianie, Słowacy i mniejsze grupy z innych krajów stony sowieckiej. Emigracja ta uległa pewnej stabilizacji: na miejsce wyjeżdżających przyjeżdżają z stony sowieckiej nowi uchodźcy.

Sytuacja emigrantów zbliża się powoli do groźnego kryzysu.

W 1945 r. żołnierze z całego świata przybyli do Niemiec w celu obalenia potwornego imperium Hitlera i wyzwolenia jego ofiar. Odkrycie obozów w Belsen-Bergen i Mauthausen wstrząsnęło sumieniem świata. W pierwszych dniach władze okupacyjne nie szczędziły starań i środków dla przyścia z pomocą internowanym i deportowanym.

Ten okres romantycznych uczuć i pojęć trwał niedługo i leży już za nami. Wyzwolone ofiary hiteryzmu stały się w krótkim czasie dla okupantów ciężarem politycznym i źródłem nieskończonych kłopotów. Znaczna część ich nie chce wracać do krajów pochodzenia, bo brak tam pokoju i wolności. Żydzi chcą jechać tylko do Palestyny. Nie pomaga na to ani perswazja i obietnice, ani przymus i terror. W Niemczech i Austrii znajduje się wciąż koło miliona emigrantów, uchylających się od dobrowolnego czy przymusowego powrotu, ukrywających się częściowo przed władzami, krnąbrnych, gotowych nawet do stawiania oporu. Obecność ich jest oczywistym dowodem, że pokoju nie ma, krępującym faktem, przypominającym wciąż, że pokój, a może i wojna, zostały przez Aliantów zachodnich przegrane.

Entuzjazm do wyzwolenia znikł, i miejsce jego u władz okupacyjnych zajęło zniechęcenie i niecierpliwość. Myśmy ich wyzwolili, a oni nam robią tyle kłopotu. Skutki tej zmiany nastrojów są widoczne. Utrzymanie w obozach UNRRA jest coraz skąpsze, niedostateczne, szkorbutowe. Nowi uchodźcy nie znajdują nigdzie przytułku. Stosunek Aliantów i naczelnich władz okupacyjnych do emigrantów jest dziś podszyty

nienujawnionymi życzeniami nagłej i niespodziewanej śmierci.

W Austrii emigranci liczyć się muszą też z tworzącą się administracją austriacką, która w jakimś — być może niedługim — czasie zastąpić ma administrację wojskową okupantów.

Próbuję rozmawiać na te tematy z miejscowymi emigrantami. «Władze okupacyjne odejdą, mówię, Austria zostanie. Czy nie wypadaloby nawiązać kontaktu z administracją lokalną, pomówić o udziale emigrantów w odbudowie kraju i o prawie do pracy?».

Moi rozmówcy są bardzo sceptyczni.

«Nasamprzód, powiadają, po tym, cośmy od nich wycierpieli, nikt z emigrantów nie będzie chciał pracować u Niemców. Całe prawie Gestapo i znaczna część SS składały się z Austriaków. W kraju, czy w Niemczech, oni właśnie najwięcej nam się dali we znaki. Dziś wszyscy są już tu. Niech pan uważa na ulicy, jak oni patrzą na pana swymi gestapowskimi oczami. Iść do nich pracować, byłoby powrotem do tego, co było przed kapitulacją Niemiec, i na to nikt się nie zgodzi. Zresztą emigranci odwykli od pracy, i demoralizacja wśród nich jest niemała».

Nie lepiej przedstawia się sprawa ze strony austriackiej. Budzący się do życia kraj chciałby przede wszystkim strącić zbudowaną na jego plecach wieżę Babel z obcych, przywiezionych tu przez nazich. Każde stronnictwo posiada własne uzasadnienie ksenofobii. Komuniści widzą w emigrantach jedynie faszystów, protestujących samym swym istnieniem przeciw «Neuordnung» sowieckiemu. Katolickie stronnictwo ludowe, obejmujące dziś wszystkich dawnych «narodowców» i antysemitów, obciążone jest wiekową tradycją ksenofobii. Socjaldemokratom wreszcie masa emigrantów stawia nierozwiązalną w ich pojęciach zagadnienie pracy i organizacji.

Ksenofobii sprzyja też dwutorowość władzy. Okupanci chcieliby przerzucić na władze austriackie część odpowiedzialności i głębokiego niezadowolenia mieszkańców. Obciążone

odpowiedzialnością, lecz pozbawione wolności działania, władze austriackie muszą chętnie widzieć, jak niezadowolona ludność szuka innych kozłów ofiarnych i widzi źródło swych nieszczęść w cudzoziemcach. Powstałą niegdyś w tych samych celach, formułę hitlerowską «Juden raus!», zastąpiła dziś formuła «Ausländer raus!».

Można więc dziś już przewidzieć, jaka rola przypadnie władzom austriackim i niemieckim w zapowiadanej tyle razy przez okupantów, wielkiej likwidacji emigracji wschodniej. Odium wypędzenia z mieszkań i odebrania kartek żywnościowych wezmą na siebie władze lokalne.

Epoka Belsen-Bergen trwa. Nie widać końca ponieważ uchoźców i emigrantów.

14 , 1946

Pierwszy kontakt z francuskimi władzami okupacyjnymi. Oficerowie armii kolonialnej, FFI, zmobilizowani urzędnicy i studenci, setki starych samochodów różnego pochodzenia. Zbudowanie z tego tworzywa administracji okupacyjnej dla Tyrolu nosi cechy genialnej niemal improwizacji, dającej wysokie pojęcie o zdolnościach francuskich oficerów sztabowych. Uderza ilość osób, mających doświadczenie w sprawach rosyjskich.

Powoli uświadamiam sobie niepewność i niejasność położenia Francuzów w Tyrolu. Dzielą oni odpowiedzialność za okupację, nie mając głosu w decyzjach, od których zależy przyszłość i powodzenie tego przedsięwzięcia.

Niejasność i zależność zaczyna się zaraz przy kwestii aprowizacji. Głodna Francja nie może aprowidować swej armii, ani tym mniej ludności krajów okupowanych. Władze okupacyjne francuskie zależą zatem od aprowizacji amerykań-

skiej. Do rozmiaru tej ostatniej muszą być dostosowane wielkości garnizonów. Od niej zależna jest w znacznej mierze postawa ludności. Sprawa przydziału żywności amerykańskiej dla ludności Austrii jest dziś jako tako uregulowana, przez pewien czas jednak armia francuska utrzymywała się z rekwizycji, co nie pozostało bez wpływu na jej stosunki z ludnością niejscową. W tej sytuacji władze okupacyjne francuskie nie mają wolnej ręki, i każda próba samodzielności politycznej z ich strony może być udaremniiona przez intendenturę amerykańską.

Zależność i niepewność ich sytuacji będzie jeszcze oczywistsza, kiedy weźmiemy pod uwagę całość sytuacji na kontynencie. Podział Niemiec i Austrii na stony wpływów, polityka ogólna Aliantów w stosunku do Niemiec i Austrii — wszystko to są zagadnienia zależne od wzajemnych stosunków między Anglią, Stanami i Rosją i rozstrzygane przez Wielką Trójkę. W decyzjach tych Francja nie ma głosu. Wszystko więc co Francuzi robią i myślą w Tyrolu i okupowanej przez nich części Niemiec, nie ma właściwie znaczenia ani wpływu na rozwój wypadków w tej części Europy. Dlatego Francuzi nudzą się bardzo w Austrii. Wielu z nich sądzi, że w tych warunkach udział Francji w okupacji Austrii jest przedsięwzięciem na wyrost, przekraczającym rzeczywiste siły i możliwości Francji.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji Francuzi wpatrzeni są przede wszystkim w to, co się dzieje w stonie sowieckiej i w siły, jakie zgromadziła tam armia czerwona. W październiku siły sowieckie, stojące dokoła Wiednia i na Węgrzech, oceniano na 1.600.000 żołnierzy. Sygnalizowane są wciąż nowe jednostki, wykwapowane do wojny zimowej. Przyjezdni z Pragi widzieli po drodze większe jednostki sowieckie, obozujące w lesie. Takie natężenia koncentracji poprzedzają zazwyczaj ofensywy generalne.

W jakim kierunku pójdzie przypuszczalne uderzenie tych

sił? «Croyez-vous qu'ils vont venir ici?» *) — pyta innie jeden ze znajomych.

W razie przekroczenia przez siły sowieckie linii demarkacyjnej, najbardziej sensownym wyjściem wydaje się szybka decyzja ewakuacji Austrii, maksymalne wykorzystanie taboru automobilowego, zanim masy uchodźców zatarasują szosy, idące na Zachód. Innych alternatyw nie widać. Armia amerykańska znajduje się w stanie samoczynnej demobilizacji. Kto wie, jak zachowają się żołnierze angielscy? Polityka oportunistyczna, praktykowana przez rządy brytyjskie, która zdezorientowała opinię publiczną w samej Anglii, musiała zmniejszyć silnie zdolność bojową wojska. Żołnierze nie bronią więcej swego kraju, lecz stoją w krajach obcych na tymczasowych liniach demarkacyjnych, które dyplomaci w każdej chwili gotowi są przesunąć dalej na Zachód dla utrzymania pokoju za wszelką cenę. Kto chciałby ryzykować życie w obronie jednej z tych fantazyjnych linii, ustalonych w tajnych rokowaniach, nie wiedząc, o co właściwie chodzi? Stają mi przed oczami analogie z losami francuskich i angielskich korpusów ekspedycyjnych w Rosji w 1918-1919.

Napięcie, wywołane przez koncentrację sił sowieckich na linii demarkacyjnej, daje się silnie odczuwać w Tyrolu. Wszyscy pytają, czym się to skończy. Czy Sowiecom odstąpiona będzie znów część Niemiec? Czy rząd moskiewski zadowolni się ustępstwami na innych terenach, w Korei, w Mandżurii, w Iranie, w Turcji? Czy przyjdzie przy tym do operacji wojskowych, czy też jakaś nowa konferencja w Jałcie czy Poczdamie ustali warunki jeszcze jednej kapitulacji Anglii i Stanów Zjednoczonych?

*) « Czy Pan myśli, że oni tu przyjdą? ».

W księgarni uniwersyteckiej Wagnera. Puste półki. Część ich zajmuje wypożyczalnia książek, mocno zniszczonych już w nieustannym obrocie. Na stole leżą rozprawy uniwersyteckie sprzed 50-60 lat, które wydawca sprzedaje ze starych zapasów. Normalne zjawiska inflacyjne, znane w Austrii i Niemczech z lat 1917-1924. Wobec dewaluacji pieniądza, wydawcy nie są zainteresowani w sprzedaży książek i starają się je przetrzymać do okresu stabilizacji monety.

Rozmawiam z zarządzającym księgarni, proponując mu różne transakcje. Chciałbym przejrzeć ostatnie publikacje, dotyczące Tyrolu. Z magazynu przynoszą mi kilkanaście książek i broszur, ogłoszonych w ostatnich latach wojny. Jakakolwiek ich treść — czy dotyczą starożytności tyrolskich, czy potrzeb przemysłu — wszystkie prawie zaczynają się od portretu Hitlera i Seyss-Inquarta.

— «Das ist das Zeitbedingte», — objaśnia księgarz.

Bez tych błazeństw piszą tylko autentyczni członkowie partii n.-s., którzy nie mają potrzeby zabiegać w ten sposób o względy swych władz przełożonych. Kupuję dwie książki. Księgarz nie przyjmuje proponowanej zapłaty w dolarach, mówiąc, że na razie może się bez tego obejść.

Uniwersytet. W przedsiönku ruch jak w ulu. Wielu studentów cudzoziemców. Dowiaduję się, że ma być wśród nich stukilkudziesięciu Polaków i tłuż Ukraińców. Rektorat ogłasza, że z powodu braku miejsca nie przyjmuje zapisów na wydział lekarski. Wolne właściwie są tylko studia humanistyczne. Zapewne istnieje już i kwestia numerus clausus dla obcych. Wszystko więc, jak przed wojną. Przypomina się mi formuła W. Szulgina po podróży do Rosji w 1928: «wszystko jak przedtem, tylko trochę gorsze».

Odwiedzam dwu profesorów. Pierwszy jest starym tytuła-

riuszem katedry, który przetrwał tu całą wojnę i — mimo młodego wieku — prześliznął się przez wszystkie mobilizacje i Auskämmungen. Dom jego zburzyła bomba lotnicza, książki i zbiory zostały zniszczone. Mieszka w wynajętym pokoju za miastem. Nauczony doświadczeniem mówi zręcznie i ostrożnie, trzymając się ogólników. Rozmowa bez żadnej przyjemności.

Drugi jest pochodzenia powojennego. Z tym rozmowa jest znacznie żywsza. Dowiaduję się o losach różnych uczonych i pisarzy. W bibliotece seminaryjnej przeglądam kilka książek. I jego nie opuszcza jednak ani na chwilę świadomość niepewności i potrzeba wytężonej uwagi w rozpoznaniu możliwego niebezpieczeństwa.

Ocalałej z potopu inteligencji uniwersyteckiej trzeba przede wszystkim ogrzewanych mieszkań, dostatecznego odżywiania się i wolnego czasu, niezbędnego dla wylizania się z przeżytych upokorzeń i zebrania rozgromionych myśli. Bez tych warunków nie ma żadnej pracy umysłowej, żadnej nawet systematycznej lektury. Dla zapewnienia sobie tych niezbędniejszych warunków inteligencja — tak dawniej, jak i dziś — gotowa jest do wszystkich kompromisów. Ale z kompromisu w kompromis zepchnięta została wreszcie na wąski i ciasny przesmyk, gdzie brak już czasu i miejsca nie tylko dla pracy umysłowej, ale nawet dla jakiegokolwiek, wartej zachodu egzystencji.

Zdawało się, że ponowne otwarcie uniwersytetów w Niemczech poprzedzi jakaś publiczna dyskusja i wyjaśnienie celu i planu studiów wyższych. Wszystkie bowiem wywrotowe i antyhumanitarne prądy naszych czasów, narodowy socjalizm, faszyzm, komunizm czekistowski, wyszły nie spośród robotników i chłopów, ale z uniwersytetów, Sam Heinrich Himmler i Reinhardt Heydrich bywali w szkołach wyższych, nie mówiąc już o « naszym » gubernatorze Franku, prezesie Aka-

demii prawa niemieckiego i doktorze h.c. uniwersytetów krajowych i zagranicznych. Zanim otwierać znów tę fabrykę, wypadaloby zastanowić się przez chwilę. Tyle zakładów przemysłowych niemieckich, produkujących np. niewinne wagony kolejowe, stoi zamkniętych, ponieważ zwycięzcy nie są pewni, czy otwarcie ich nie grozi bezpieczeństwu świata. Szkołom wyższym nie poświęcono tyle uwagi. Stare uniwersytety otwierają się w całych Niemczech na mocy decyzji miejscowych komendantów okupacyjnych. Wszędzie zapisują się do nich tysiące młodych ludzi, aby stworzyć nowe szeregi dyplomowanych, gotowych pisać książki do portretów przyszłych Seyss-Inquartów.

Fakt, że tak ważna na pozór sprawa poszła na tak niepewne drogi, wynika z kryzysu, jaki przechodzi inteligencja zwycięskich mocarstw. Gdyby nawet rządzący w Niemczech generałowie chcieli powołać komisję rzeczoznawców dla spraw uniwersyteckich, do kogo mieli się zwrócić? Czy do profesorów, t.zw. lewicowych, piszących «à la lumière du marxisme» i całujących nabożnie dzieła Lenina? Czy do wynalazców bomby atomowej? Czy do vansittartystów? Inteligencja anglosaska przeżywa najgłębszy może w jej dziejach kryzys wewnętrzny. Najlepszą jej część trawi niecznośny Katzenjammer zwycięzców, i obcowanie z nią napełnia zniechęceniem i melancholią. W braku więc kompetentnych doradców, generałowie okupacyjni musieli załatwić tę sprawę manu militari, jak umieli, i decyzja ich wypadła zapewne nie gorzej, niż gdyby wyszła z głów t.zw. fachowców.

O duchu, w jakim sprawy te są rozważane dziś przez p.t. fachowców, świadczy następujący fakt. W Niemczech panuje od dawna, nieznaną od półtora wieku, głód książki, ponieważ od 1933 nie drukowano tam książek, interesujących czytelnika, granice zaś zamknięte były dla książek obcych. W tej chwili dobre książki w języku niemieckim istnieją tylko w Szwajcarii, gdzie drukowano je bez przerwy przez całą

wojnę, trochę nawet na wyrost, licząc na otwarcie rynku niemieckiego. Tymczasem władze okupacyjne nie pozwalają na przywóz książek szwajcarskich do Austrii i Niemiec, ponieważ rynek ten chciałyby zachować dla produkcji wydawniczej mocarstw zwycięskich. Wydawcy ich wprawdzie nie teraz — w braku papieru i personelu — drukować nie mogą, ale na wszelki wypadek. Dowiaduję się o tym od księgarza, który pokazuje mi numer szwajcarskiej gazety, opisujący bardzo spokojnie całą tę sprawę.

17 1946

Mój wyjazd do Niemiec natrafia na niespodziane trudności. Amerykanie odmawiają przepustki. Muszę czekać na wynik interwencji o którą proszę znajomych Francuzów.

Czekać... Nigdy zapewne słowo to nie miało tego znaczenia i zasięgu co dziś. Miliony osób zajęte są głównie czekaniem. Czekają na przepustki, na możliwość powrotu do kraju lub wyjazdu do ziemi obiecanej. Jeszcze liczniejsi nie mają dokąd jechać i czekają w ogóle; czekają pokoju; czekają lepszych czasów. Są jak chorzy, czekający poruszenia się wody, o których mówi Ewangelista.

Przy niedostatecznym odżywianiu i mroźnej pogodzie, zburzone miasta tracą szybko siłę przyciągającą. Wszędzie te same gruzy i zbiedzeni przechodnie, te same okna zabite deskami. Uchodźcy wracają wcześniej do swych baraków, kładą się na sienniki i czekają. Niektórzy opowiadają półgłosem swe przygody, inni zamykają oczy i marzą.

Mało kto zdaje sobie sprawę z przełomu, jaki odbywa się obecnie w zasadniczych postawach Europejczyków wobec życia. Od czasów Renesansu, Zachód cenił nade wszystko energię, przedsiębiorczość, wynalazczość, zabieглиwość, zdolność do pracy. Początek obecnego stulecia ujrzał narodziny mi-

styki czynu. Myśl wydawała się wówczas jedynie ubocznym produktem czynu. Słowo «marzenie» ozdobiło się epitetem «czcze» lub «próżne». Nawet u poetów wyrazy te kojarzyły się bez sprzeciwu:

Maudit soit à jamais le rêveur inutile...

Dziś, po latach gorączki pracy i nedorzeczných wysiłków, dziesiątki milionów obywateli kontynentu nie widzą rozumnego celu dla swej działalności. Organizacja zbiorowa pracy zdaje się prowadzić wciąż przez te same etapy: przemysł, kryzys, zbrojenie, bombardowanie. Przedsiębiorczość prywatna, poprzez niezliczone przeszkody, pozwolenia na pracę, przepustki, reglamentacje, patenty, kontyngenty, poprzez tysiące podań i urzędów prowadzi do zablokowanego konta lub paczki banknotów, za które nic więcej kupić nie można i których posiadanie nie dostarcza żadnej niemal korzyści. Zresztą same warsztaty i możliwości pracy znikają. To, czego nie zniszczyły bomby, jest demontowane i wywożone. Nic nie powstaje na to miejsce. W miastach nie widać żadnej ekonomicznie użytecznej pracy.

Nie mogąc nic przedsięwziąć dla poprawy swego losu, miliony starają się w myśli przynajmniej uciec od otaczającego je świata. W niezliczonych barakach i koszarach, być może za każdym oknem zabitym deskami, leżą sienniki, a na nich, pod łachmanami koców, blade postacie mającą z zamkniętymi oczami. Kontynent przechodzi przymusową szkołę marzycielstwa.

Zmuszony — jak wszyscy — do czekania, zawijam się w śpiwór i zamykam oczy. Sąsiednie domy leżą w gruzach, ulica jest wymarła. Mroźne powietrze leży na niej bez ruchu. W półmroku słyszę tylko własny oddech.

Myślę, że w takiej ciszy emigranci słyszą szum swoich rzek. Wystarczy skupić się w pamięci, aby wśród setek innych poznać szum swojej rzeki. Każda z nich mówi innym

językiem. Jedne huczają i dudnią, inne dzwonią po płytkim dnie, w innych słyhać bulgotanie wirów i szmer pian przesuwających się nad głębiną, w innych wreszcie woda jest niema.

Słowacki, który słyshał jak «źródła po murawach dyszą» i przez całe swe emigranckie życie niósł pamięć brzegów Ikwy, nie mówi nic o jej szumie. Dlaczego? Ikwa pod Krzemieńcem płynie spokojnie w szerokiej dolinie, wśród pól i łąk. Oddech jej wód ledwie słyhać wśród szelestów sitowia.

Szmer wód zależy od otaczającego rzekę krajobrazu, od konfiguracji jej brzegów i ich roślinności. Inny jest wśród drzew, inny na otwartej przestrzeni. Ulubiony przez Mickiewicza «ruczaj» jest taką samą onomatopcją jak «cyrkało», które na połoninach Pokucia oznacza źródło. W pierwszym słyhać mruczenie wody pod drzewami, w drugim — cienką strugę wody bijącej pod szczytem, wysoko nad granicą lasów

Inaczej szumi Dniestr, płynąc w jarach między stromymi zboczami o trawie krótko strzyżonej przez owce, inaczej Niemen, kiedy oddech jego wód bieli liście olchy i osiczyzny.

Dzwina toczy swe głębokie wody po czarnym dnie w milczeniu. Ledwie przy słupach mostów i pływakach wycierzy słyhać bulgotanie nurtu i plusk rzucającej się ryby.

Jeszcze bardziej nieme są rzeki Polesia, stojące w jesiennej mgle. Zamknąwszy oczy, słyseż tylko wirujące w powietrzu liście, które z szelestem padają na brzeg lub milcząc zanurzają się w wodę.

W głębi pamięci odnajduję jeszcze szum Wilii pod Werkami. Czytałem jednak w przewodniku, że w Werkach jest dziś restauracja; szum rzeki miesza się więc zapewne z brzękiem talerzy.

Największą siłę magiczną posiada Czeremosz, który spośród wszystkich rzek górskich sam jeden płynie w cieniu stułetnich jodeł i świerków. Wody jego pienią się wartko w kamiennym łożysku, szemrzą na żwirowych mieliznach,

dzwonią po kamieniach, bełkocą w cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtóruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłądem, posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.

Coś podobnego jest tematem powieści Jana Giraudou, gdzie młody Francuz, dotknięty amnezją, wychowywany jest na Niemca, nosi brodę i kolorowe kalesony, a staje się znów sobą czytając jak łapią ryby w jego departamencie.

Być sobą, być sobą, — *this above all*, mówi Hamlet — można, zdaje się, tylko w jakiejś więzi, konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślejszej ojczyzny, rodzonej czy przybranej.

Czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa, lub zamienionych — jak gniadosz na bułanka — w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyły z powrotem do miejsc pochodzenia, lub przestaną być sobą i — ku ucieście eksperymentatorów społecznych — stworzą plastyczną masę, podobną do tej, jaką Robert Ley wypełnił, fabryki i obozy Rzeszy.

Kto wymyślił, że najważniejszą więzią łączącą ludzi jest wspólna mowa lub, biorąc rzecz ściślej, wspólny elementarz, z którego młodzi uczą się belferskiego języka urzędowego, wyjałowionego należycie z wyrazów obcych i wspomnień historycznych i mdłego jak postna zupa? Dolejcież do niej przynajmniej trochę gwary koszarowej, aby nie zemdliło. Kto to wymyślił? To musiało wyjść z biurka i kałamarza urzędnika lub politycznego profesora. Na próżno szukać by podobnej myśli u Mickiewicza lub Słowackiego. Czym jest więź wspólnego języka wobec więzi, wynikłej z wspólnie znanej tajemnicy ziemi? Wspólność mowy nie zapobiega wojnom cywilnym, ile natomiast trzeba gwałtów i nieprawości, aby

wywołać krótkotrwałą chociażby wojnę między mieszkańcami tej samej gminy?

Konfuzja pojęć wynika zapewne stąd, że wspólność języka i pochodzenia terytorialnego pokrywały się zazwyczaj. Nikt dotąd nie widział ludzi sypanych na kupy oddzielnie według kryterium językowego. Aby to zobaczyć, trzeba było doczekać Hitlera.

Jedynym utworem napisanym po ukraińsku przez Gogola był list do Bohdana Zaleskiego. Im dłużej myśleć o tej korespondencji, tym mniejszą wagę zdają się mieć sprawy językowe wobec tylu innych spraw zbliżających i oddalających ludzi od siebie.

Ile takich spotkań, zbliżeń i oddaleń musiało mieć miejsce w Polsce podziemnej i wieży Babel niemieckiej? Co myślał o tym tysiące Polaków, Litwinów i Ukraińców, których wspólny los zaprowadził do Niemiec? Co myśli o tym M., poeta ukraiński, z którym mam spotkać się jutro i który tak samo jak ja zna Prut i Złotą Lipę?

18 1946

M. mieszka w jednym z licznych mieszkań emigranckich, w których każdy pokój daje przytułek jednej rodzinie. Z korytarza wchodzę do obszernego pokoju. Przy stole znajdują młodą kobietę i dwu młodych ludzi, zajętych bardzo porządnym śniadaniem. Po jednym z łóżek spaceruje gwarząc dwuletnia dziewczynka ze złotymi lokami, która narazie nie wychodzi z łóżka w braku butów. Na innym łóżku śpi na wznak w czarnym ubraniu mężczyzna lat 40, blady, z ciemnymi włosami spadającymi na czoło. To musi być M. Poznaję go po niezbędnej dla pisarza zdolności izolowania się. Proszę, aby go nie budzono, i rozmawiam na razie z młody-

mi. Obaj byli jesienią 1938 na Zakarpaciu i odtąd są wciąż w drodze: Praga, Bratysława, Wiedeń, Lwów, Kijów i znów Bratysława, Wiedeń. Po drodze bywali w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Mówią mi o zamknięciu granicy włoskiej i bawarskiej. Na wieszadle widzę trzy skórzane płaszcze podbite lekkim futrem. Tak wygląda mundur dzisiejszego Ahaswera. Do tego plecak i wygodne buty. Nic więcej.

M. budzi się. Okazuje się, że drogi nasze krzyżowały się już nieraz w różnych miejscach. M. jest od 25 lat emigrantem. Ostatnim krajem, gdzie miał możliwość spokojnej pracy przez kilka lat, była Słowacja. Po każdym przymusowym wyjeździe przestawał pisać i myślał, że rozstał się na zawsze z literaturą, ale po pewnym czasie zaczynał pisać znów. Obecnie ma cały zbiór nowych wierszy i rozpoczętą powieść.

Na oknie widzę katalog lwowskiego Ukraińskiego Wydawnictwa, którego nakładem w 1942-43 ukazało się kilkakaset tomów, obejmujących dzieła wszystkich wybitniejszych pisarzy współczesnych, galicyjskich i naddnieprzańskich. Przeglądam go z żywym zainteresowaniem. W tych latach i tych warunkach, kiedy znaczna część inteligencji ukraińskiej przeszła już była na nielegalność i brała udział w ruchu partyzanckim, żaden z ludów kontynentu nie zdobył się na podobny wysiłek literacki i wydawniczy. Znaczna część nazwisk jest dla mnie nowością. Mówimy o współczesnej poezji ukraińskiej i jej parnasizmie. M. ofiarowuje mi egzemplarz *Kameny* i *essayów* Mykoły Zerowa.

— Mnie żadne książki nie są potrzebne. Cały mój bagaż powinien się zmieścić w plecaku, gdzie mam już kilka rękopisów.

Wobec słonecznej pogody M. zabiera mnie na cały dzień w góry. Idziemy przez miasto, potem wspinamy się powoli ku ośnieżonym, jarzącym się w słońcu wzgórzom.

W rozmowie odsłania się przede mną pomatu odrębna

struktura emigracji ukraińskiej. W odróżnieniu od innych emigracji kontynentalnych, emigracja ta nie ma charakteru uchodźstwa wojennego, o którego składzie zdecydowała bliskość granicy lub posiadanie bańki benzyny. Ukraińcy cofali się przez 25 lat w porządku z Ukrainy do Polski, z Polski i Zakarpacia do Czech i Słowacji, stamtąd do Austrii i Niemiec. Na emigrację wyszła cała ich inteligencja. Nieliczni, pozostali w kraju pisarze, bądź skrywają się u partyzantów, bądź — jak Ryłski — muszą w asyście policji wygłaszać na wiecach mowy przeciw «bandytom». Dzięki obecności inteligencji, na każdym etapie odwrotu mogły natychmiast powstawać komitety obywatelskie, szkoły, uniwersytety, czasopisma, firmy wydawnicze księgarnie, przenoszone coraz dalej na Zachód. Nawet w Innsbrucku istnieje już ukraińska księgarnia.

W tych warunkach wychowały się już dwa pokolenia inteligencji ukraińskiej w pochodzie. Wydaje się, że w tej chwili Ukraina posiada najbardziej niezależną inteligencję w Europie. Wychowały ją w niezależności zsyłki sowieckie, areszty węgierskie, rumuńskie i obozy koncentracyjne niemieckie. Kto przeszedł tę szkołę, mało zależy już od ogrzewanego mieszkania, stałego uposażenia, biblioteki i innych korzyści, jakie przynoszą kompromisy i kolaboracje.

Przychodzi mi na myśl, że parnasizm poetów ukraińskich pochodzi, być może z tęsknoty tułaczy do tego, co w literaturze jest najbardziej stałe i ciągle, z potrzeby przemyslenia na nowo Wirgiliusza i Horacego, których wiersze nosi się więcej w pamięci niż w plecaku. Mimo woli porównuję produkcję tych — obecnie wszędzie nielegalnych — pisarzy z chudą i naiwną literaturą francuskiej Résistance z tychże lat, czerpiącą przecież z najbogatszej rezerwy literackiej naszych czasów.

Moje wczorajsze refleksje o magicznej sile rzek i lasów okazują się słuszne. Z M. i jego współlokatorami rozmawiamy jak starzy znajomi. Nie dzielą nas żadne wspomnienia 27 lat sporów i wojny polsko-ukraińskiej, w tej chwili dla strony pol-

skiej i ukraińskiej całkowicie przegranej. Pisząc te słowa słyszę jeszcze ich jasne, życzliwe głosy.

Po paru godzinach marszu trafiamy z M. do górskiego hotelu, posiadającego jeszcze trochę starych zapasów. Jemy tam za półtora marki dość chudy obiad i pijemy prawdziwą kawę z cukrem. Marka zachowała więc swą siłę kupna i czeka tylko na pojawienie się towarów. Zjawiska inflacyjne szerzą się jedynie w najbliższym sąsiedztwie władz okupacyjnych, emitujących pieniądze i zasilających czarny rynek z rezerw intendenty.

19 1946

Na jednej z bocznych ulic widzę, wysiadającego z samochodu o czeskich barwach, oficera, którego wzrost i postawa, przypominające ś.p. generała Kitchenera, zwracają powszechną uwagę. Świetnie odżywiony i zadowolony z siebie oficer, w nowiutkim mundurze o imponującej liczbie naszywek złotych, ma w twarzy coś odrażającego, brutalnego i bestialskiego. Takie twarze widuje się u myśliwych, którzy z wielką przyjemnością szlachtują w kociołku 10 saren i 50 zajęcy.

Moi przyjaciele poznają go od razu z mego opisu.

To kapitan S., który trudni się wyłapywaniem Słowaków. Kiedy o którymś z nich się dowie, denuncjuje go przed władzami austriackimi i francuskimi i tak długo nudzi wszystkich, dopóki go nie odstawią do linii demarkacyjnej. Przyjechał tu w amerykańskim mundurze i przez pewien czas rządził się w Innsbrucku, jak szara gęś.

Dwaj studenci, pochodzący z okupowanej przez wojska sowieckie wschodniej części Słowacji, potwierdzają te informacje. Kapitan S. posiada duże stosunki wśród władz okupacyjnych i spowodował już wydanie wielu uchodźców słowackich. Wydani dostają się w ręce N.K.W.D. i nikt nie wie, co się z

nimi potem dzieje. Wskutek tych prześladowań emigranci słowaccy uciekają do Włoch i Bawarii. W zonie amerykańskiej, powiadają, nie jest dużo lepiej. Po znanych zajściach w Kemp-ten w sierpniu r.ub. wydawanie emigrantów władzom sowieckim odbywa się mniejszymi grupami, lub indywidualnie. Kiedy N.K.W.D. chce kogoś dostać w ręce, umawia się z miejscowym amerykańskim oficerem, który aresztuje delikwenta i związanego dostarcza na linię demarkacyjną. Fama głosi, że transakcje te, odbywające się najczęściej w nocy, robione są za pieniądze. Zagrożeni ukrywają się głęboko, lub uciekają do innych zon.

Nie od razu chce mi się wierzyć tym informacjom. Kto jednak lepiej zna istotny stan rzeczy od bezpośrednio zainteresowanych? Zresztą, sądząc z deklaracji najwyższych władz okupacyjnych na te tematy, takie polowania na ludzi są, być może, dozwolone, jeżeli nie zalecane. O brutalności i bestialstwie tych procederów świadczą wymownie wypadki w Kemp-ten. *) Rozumiem teraz czemu Amerykanie odmawiają mi przepustki. Do tego, co się w ich zonie dzieje, świadków nie trzeba.

Wydaje się, że zamiast obiecanych podczas wojny: wolności od głodu i strachu, epoka Zjednoczonych Narodów przyniosła Europie inne, mniej znane wolności, jak wolność polowania na ludzi, z zasadzki lub z nagonką, łapania ich we wnyki, jak borsuków i sprzedawania ich skóry.

Po południu dowiaduję się, że interwencja francuskich przyjaciół nie odniosła skutku i amerykański oficer łącznikowy odmówił mi definitywnie przepustki do Monachium. Francuzi radzą mi jechać na zielono. Rada ta wydaje mi się spóźniona z chwilą, kiedy Amerykanie oglądali moje dokumenty. Postanawiam odwiedzić sam amerykańskie biuro w Landhaus i

*) t. j. przymusowego wysiedlania pod okupację sowiecką obywateli państw Europy wschodniej.

zwracam się tam do oficera, o którym dowiedziałem się, że mówi tylko «po amerykańsku» i z tego powodu nie ma w Innsbrucku nic do roboty. Zastaję rosłego chłopca w wytartym granatowym mundurze kapitana, który na mój widok zdejmuje nogi ze stołu i bardzo uprzejmie udziela mi doskonałych rad.

— «Major Graham, powiada, ma instrukcje niewydawania w miarę możliwości żadnych przepustek. Jeżeli chce pan jechać do Bawarii, jedź pan naprzód do Salzburga, dokąd się pan może dostać za austriacką przepustką. Salzburg leży już w strefie amerykańskiej, i jeżeli pan ma jakieś doświadczenie w podróżowaniu, znajdzie pan sposób na dostanie się do Monachium».

Przy pomocy przyjaciół w kilka minut dostaję czerwoną książeczkę z imponującym tytułem «passeport Allié» z tekstem w językach angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Za tym dokumentem mogę jechać do Salzburga. Później spostrzegam, że w pośpiechu zapomniano przewidzieć na tym dokumencie możliwości podróży powrotnej. Muszę więc jechać naprzód, nie oglądając się za siebie.

Wychodząc z Landhaus'u jestem świadkiem następującej sceny. Przed siedzibą Zarządu Wojskowego Tyrolu stoi w dwu rzędach kilkadziesiąt francuskich wojskowych samochodów, zwróconych przodem do głównego wejścia. Na plac wjeżdża ciężki samochód amerykański i, wpadając z boku, miażdży kilka lekkich wozów francuskich. Amerykański szofer nie posiada się z radości na widok spłaszczonych Citroenów i Mathisów. Nie ma wątpliwości, że zrobił to umyślnie. Na szczęście nikt nie został ranny. Oburzeni szoferzy francuscy mówią, że jest to ulubiona rozrywka żołnierzy amerykańskich.

O północy opuszczam Innsbruck. Pociąg pośpieszny idący z Bregencji do Wiednia spóźnia się o 2 godziny. Dworzec jest zburzony i pociągi zatrzymują się o kilkadziesiąt metrów dalej. Koło 100 osób czeka na mrozie pod gołym niebem.

Tyleż stoi w tunelu, gdzie zdaje się być mniej zimno. Pierwsze wagony nadchodzącego pociągu zarezerwowane są dla wojsk okupacyjnych. Wagony dla cywilów są nieoświetlone. Wybite okna są zatkane kocami lub dyktą. Nikt prawie nie wysiada, po omacku wchodzimy do ciemnych wnętrz. Wbrew pozorom tłok jest umiarkowany i znajduję siedzące miejsce. Od miesiąca już wielki ruch podróżnych idzie w kierunku zachodnim i jazda w stronę przeciwną nie nastrocza wielkich trudności.

Na linii dzielącej okupację francuską od amerykańskiej mamy już 3 godziny spóźnienia. Czeka nas tam tylko krótki przegląd dokumentów.

20 1946

Do Salzburga przyjeżdżamy z czterogodzinnym spóźnieniem, krótko przed II-tą. Ze zburzonego dworca szybko przenoszę się do kawiarni najbliższej w nadziei dostania tam szklanki ciepłej infuzji z kwiatu lipowego lub rumianku, jedyne trunku, jaki ofiarowują dziś kawiarnie niemieckie. Goście przedpołudniowi — kawiarnie otwarte są do II-tej — przynoszą ze sobą chleb i smalec amerykański. Niestety przychodzę zbyt późno. Jem więc swój chleb z mdłym smalcem i wychodzę na ulicę. Przypominam sobie słowa amerykańskiego oficera: «If you have some experience in travelling...». W Salzburgu nie mam znajomych. Drogę do odwrotu mam zamkniętą. Jak, kiedy i którędy, i za jakimi dokumentami uda mi się stąd wyjechać?

Przez park i Mirabellplatz kieruję się do środka miasta. Bombardowania zostawiły tu jeszcze mniej śladów niż w Innsbrucku. Między ruinami otaczającymi dworzec i Residenzplatz nie widzę żadnych śladów bomb. Główny most jest na-

prawiony i jadą przezeń setki automobilów wojskowych. Wszędzie widać żołnierzy i policję wojskową.

Mimo małej ilości ruin miasto jest równie smutne jak Innsbruck. Wśród bezlistnych drzew, w chłodne południe jesienne, wygląda jak ubogi człowiek, który w biały dzień czuje się źle w swych łachmanach. Zwłaszcza nowe dzielnice wyglądają posepnie w swym zaniedbaniu. Wesole, rokokowe budynki lepiej znoszą czasy niedoli. Zakurzone i odrapane, zachowują zawsze wielkość i wdzięk Oświecenia.

Idąc powoli przez stare miasto, uświadamiam sobie rolę tych starych budynków. Salzburg przechodzi przez czyszciec już po raz drugi. Prawie tak samo wyglądał w 1919 roku, kiedy na ruinach Austrii arcyksiężęcej i arcybiskupiej ujrano, jako kanclerza, wiejskiego poboszcza, ks. Seipla, z jego ministrem spraw zagranicznych, wyglądającym jak młody kupiec branży bławatnej... Życie tu po tym zaczęło narastać od dołu, od socjalistycznych związków zawodowych i chłopskich zrzeszeń katolickich, ubogie, głodne, obciążone procentami od pożyczonych szylingów.

Po okresie wielkiego postu Salzburg wrócił raz jeszcze do świetności w latach trzydziestych, jako miejsce sławnych festivalów muzycznych, ściągających z całego świata elitę snobów. Z tego czasu pozostała mu większa ilość garażów, zarekwizowanych obecnie na potrzeby wojska.

We wczesnym średniowieczu cudowne relikwie świętych broniły nieraz miast przed wojną i zarazą ściągając jednocześnie tłumy pielgrzymów, niezbędnych dla ożywienia handlu. Takim cudotwórczym protektorem Salzburga w naszych czasach stał się Mozart. Relikwie jego miasto przechowuje w trzech domach, które szczęśliwie wszystkie ocalały. On to dostarczył mieszkańcom chleba i wina oraz pozorów życia, prowadzając do miasta tysiące, nie tyle pobożnych, ile bogatych pielgrzymów.

Patrząc na ich zbiedzone twarze nie widzę jasno, czy

mieszkańców Salzburga łączyło coś istotnego z ich Mozartem, czy też byli tylko zręcznymi organizatorami festivalów i turystyki artystycznej, korzystającymi z pomysłnej koniunktury.

Jasne jest tylko, że całej tej nowej sławy Mozarta i Salzburga nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić bez Residenzplatzu i otaczającego go kompleksu biskupio-rokokowej architektury, którą szczęśliwy wypadek ocalił od nie mniej groźnych, niż bombowce restauratorów i urbanistów XIX i XX wieku. Muzyka Mozarta była i przedtem powszechnie znana z niezliczonych wydań, koncertów i wieczorów operowych. Dla tego jednak, kto miał czas się nad nią zastanawiać, nie było tajemnicą, że od dawna już znajdowała coraz mniej szczęśliwych interpretatorów, że wykonania jej zostawiały coraz wyraźniejsze wrażenie niedosytu, że klucz do niej został przez nowe pokolenia zgubiony, i że wreszcie zmienna i feeryczna sztuka Mozarta stała się dla nas wyniosła i odległa. Dopiero odkrycie Salzburga i umieszczenie Mozarta w jego środowisku historycznym stworzyło pomost pomiędzy sztuką jego i publicznością artystyczną. Jak podróż do Włoch uważana jest za niezbędną dla zrozumienia włoskiego malarstwa, tak podróż do Salzburga stała się nieodzowna dla zrozumienia Mozarta. Ustalenie się tych — być może powierzchownych — pojęć stało się źródłem nowej zamożności i sławy Salzburga.

Historia Salzburga uczy, że każde miasto, mające stare, piękne budynki, posiada rozpoznaną, lub jeszcze nieodkrytą siłę, mogącą dostarczyć mieszkańcom nie tylko chleba i wina; ale także nowego życia, łączącego je z wielkimi prądami myśli i sztuki. Patrząc dziś na ruiny Europy, z przykładu Salzburga możemy wnosić o rozmiarze strat kontynentu.

Widok zakurzonych i zaniebanych zabytków budzi dziś mnóstwo pytań. Czy uda się raz jeszcze obudzić je z prochów i przywrócić do godności żywych pomników cywilizacji? Czy pokrywający je pył bombardowań nie jest wyrazem pogardy dzisiejszych zwycięzców dla przeszłości i cywilizacji, pogardy

bardziej niszczącej od samych bomb? Czy nie jest wyrazem woli zwycięzców, pragnących ustalić raz na zawsze — jak w pakcie w San Francisco — że wszelkie nowe życie ma odtąd mieć swe źródło nie w żadnych starych murach, ale w Middletown i w Magnitogorsku?

W sytuacjach, podobnych do mojej, nigdy nie wiadomo, skąd przyjdzie ratunek. Oglądanie na głodno starych pałaców i rozważania na temat Mozarta naprowadzają mnie niespodzianie na dobrą drogę. Wędrując przez stare miasto spostrzegam świeżo otwarte biuro podróży. Biuro podróży? W mieście, otoczonym nieprzepuszczalnymi granicami, instytucja ta wydaje się groteskowa. Wchodzę do środka i czytam napisy: bilety kolejowe, abonamenty, turystyka... wszystkie okienka puste. Cała publiczność tłoczy się przed jedynym otwartym okienkiem. Zbliżam się doń i czytam: przepustki. Zapoznają się trochę z trybem urzędowania, porzucam kolejkę, wchodzę do środka biura i tam dowiaduję się następujących szczegółów.

Wobec olbrzymich przemieszczeń ludności, żadna granica, ani linia demarkacyjna nie wytrzymuje naporu podróżujących. Dziesiątki tysięcy nieszczęśliwych idą na zielono. Mniej zdecydowani chwytają się kombinacji, jeżeli nie zupełnie nielegalnych, to przynajmniej niezupełnie legalnych. Gdziekolwiek w linii demarkacyjnej zarysuje się jakaś szczelina, w kilka godzin później tworzy się przed nią giełda przepustek i dokumentów podróży. Stoję właśnie przed jedną z tych szczelin.

Licząc w swych murach większą liczbę pozbawionych środków do życia uchodźców z Rzeszy, Zarząd miasta wyjednał u władz okupacyjnych pozwolenie na repatriowanie osób, które miasto miało odstawić do Monachium własnymi autobusami. Ustalono formularze, na których wypisywano listy repatriantów. Zaopatrzone pieczęcią «Military Government» formularze te służyć miały za przepustki zbiorowe. Praktyka wykazała, że oficer, posiadający nazwaną pieczęć — rozu-

mując słusznie, że nie potrafi skontrolować dokumentów i pochodzenia podróźnych — zaniechał zbędnego czytania i, trzymając nogi na stole, bez różnicy, pieczętował wszystkie przedkładane mu formularze. Kiedy i formularz, na którym stało tylko jedno słowo — «kukuryku» — wrócił zaopatrzonej pieczęcią urzędową, repatriacja przybrała większe rozmiary.

W zamian za taki fantazyjny dokument, ofiarowuję mojemu uprzejmemu rozmówcy mój czerwony «passeport allié», upoważniający bez fotografii do bezterminowego pobytu w Salzburgu. Oferta zostaje bez chwili wahania przyjęta, i w dwie godziny później mam już w kieszeni przepustkę do Monachium. Autobus miejski odchodzi z Mirabellplatzu o 7-mej rano.

Zajęty poszukiwaniem dokumentów podróży, nie mam czasu myśleć o noclegu. W biurze Czerwonego Krzyża informują mnie, że mogę wygodnie przenocować w obozie UNRRA w Hellbrunn. Nie mam czasu sprawdzać tej informacji.

W Austrii i Niemczech wszystkie udzielane informacje są zasadniczo nieścisłe. Słyszając np. słowa «jutro o 5-tej proszę się zgłosić pod następującym adresem», należy iść pod wskazany adres natychmiast, stwierdzić jego błędność, znaleźć adres właściwy, sprawdzić jego dokładność, i wówczas dopiero można spocząć na ławach w oczekiwaniu wyznaczonej godziny. Zjawisko to jest prawdopodobnie skutkiem znużenia nerwowego, niedożywiania i innych specyficznych warunków życia podczas wojny.

O zmroku biorę pociąg do Hellbrunn, tam dowiaduję się, że obóz znajduje się nie w Hellbrunn, ale przy Hellbrunner Chaussée, odległej o kilka kilometrów. Jadę tam innym pociągiem i znajduję całe miasteczko baraków czysto utrzymanych, ogrzewanych i bardzo słabo zaludnionych. Przez główne wejście wchodzę do ciepłej poczekalni. Tam znajduję urzędnika UNRRA w asyście M. P., który objaśnia, że według ostatnich przepisów żadną miarą nocować mi w obozie nie

wolno. Na to oświadczam, że zadowolnię się także noclegiem przed obozem, zrzucam plecak i rozścielam śpiwór na środku sali. Widząc moją determinację, przedstawiciel UNRRA pozbywa się mnie fortelem.

— «Po co ma pan tak niewygodnie nocować? Proszę iść do hotelu Europa, który jest również zarekwirowany dla uchodźców, ma jeszcze dużo miejsca, i gdzie będzie pan przyjęty z otwartymi ramionami».

To daje mi do myślenia. Jutro o 7-mej autobus miejski odchodzi z Mirabellplatzu, odległego stąd o godzinę drogi. Z hotelu natomiast Europa będę miał do autobusu tylko kilka minut chodu.

— «Czy znajdę jeszcze tramwaj przez miasto?».

— «Oh, tramwaje w kierunku miasta chodzą do pół do dziewiątej. Ma pan jeszcze godzinę czasu».

Wszystko to okazuje się wierutnym kłamstwem. Ostatni tramwaj właśnie odszedł. Pieszko idę raz jeszcze przez całe miasto. W parku przed hotelem, w najwidoczniejszym miejscu, stoją okropne latryny, zbudowane przez amerykańskich saperów i obliczone na potrzeby kilku pułków podczas dyzenterii. Sam hotel, goszczący niegdyś najbogatszych turystów muzycznych, jest dziś ruderą. Obrzymi hall, odarty z dywanów, stoi dziś pusty, mroźny, z wybitymi oknami. W korytarzu bariera, przy niej urzędnik UNRRA w asyście M. P.

— «Według ostatnich przepisów nie wolno tu panu nocować».

W ciągu dnia zdążyłem zauważyć, że do Salzburga przybyło właśnie wielu uchodźców z zony sowieckiej, ubranych często tylko w koszulę i kalesony, po zrabowaniu im przez maruderów wszelkiej innej garderoby. Zatrzymuję się więc w hallu, aby zobaczyć, jak się nimi UNRRA zaopiekuje. Od jednego z lokatorów hotelu słyszę, że jest tam jeszcze 30 wol-

nych łóżek i kilka pustych, ogrzewanych sal. Noc jest mroźna, około 5 stopni niżej zera.

W ciągu pół godziny przedstawiciel UNRRA w asyście M. P. wysyła na ulicę kilka kobiet z dziećmi i kilkunastu mężczyzn, ubranych częściowo jak wyżej. Przypominają mi się słowa słyszane niegdyś od przedstawiciela francuskiego Czerwonego Krzyża:

— « Les atrocités de guerre seront bientôt éclipsées par les atrocités de paix ».

Podchodzę do młodego Cerbera i mówię spokojnie:

— « Czy panu nie wstyd? To, co pan robi, jest nie dużo lepsze od tego, co nazi robili w Bergen-Belsen ».

Trafiam jednak nie na ucznia nazich, ale na potomka Tartuffa. Młody Amerykanin podnosi pobożnie oczy do nieba.

— « Mnie samemu serce się kraje, muszę jednak spełnić obowiązek, nakazany przez przełożonych ».

Widocznie sławna inicjatywa prywatna Amerykanów przejawia się łatwiej, kiedy chodzi o pomoc ofiarom wojny. W swej działalności zawodowej urzędnicy UNRRA są bezduśnymi formalistami. Kto wie zresztą, z jakich sfer pochodzą, z jakich nizin społecznych wojna wyniosła ich na panów świata? Myślę o demoralizacji, jaką szerzyć będą po powrocie z wojny, przywykli do poniewierania człowieka.

Naprzeciw hotelu znajduje się jeszcze przytułek Czerwonego Krzyża. W ciasnym, straszliwie brudnym baraku stoi około 200 osób, nie mających nawet gdzie usiąść. Widzę kobiety z dziećmi, wyrzucone przed chwilą na ulicę przez « gieroja » z UNRRA, obok półnagich mężczyzn. Niektórzy z nich gorączkują w początkowych fazach zapalenia płuc, a może i tyfusu. To samo widzę w poczekalni na dworcu.

Wychodzę z tych smutnych miejsc niedoli i poniewierki człowieka. W parku, obok hotelu Europa, stoi półkołem kilka ciemnych zburzonych domów. Gruzy sięgają miejscami pierwszego piętra. Wchodzę przez okno do jednego z tych

domów. W świetle latarki widzę tylko masy gruzu, najeżonego żelastwem. Wreszcie w trzecim domu pod zwisającym płatem zwalonego pięttra, znajduję całą salę wolną od gruzu, z zachowaną częściowo podłogą. Zatrzymuję się i słyszę przez okno szmer oblodzonej fontanny. Rozścielam śpiwór i rozbiegam się jak w górach. Zamierzam właśnie zgasić latarkę, kiedy w oknie zjawia się młody człowiek ze skrzypcami w ręku.

— «Szedłem za panem w nadziei, że mnie pan zaprowadzi do jakiego noclegu. Wygląda pan na doświadczonego włóczęgę. Widząc pana, wchodzącego przez okno, czekałem na dole, licząc, że jeżeli pan nie wróci, pójdę pana śladem.

— Czy nie zechciałby pan coś zagrać dla urozmaicenia tego ponurego wieczoru? ».

— «Raczej nie, obawiam się, że popełnilibyśmy nietakt, zwracając na siebie uwagę niepowołanych ».

Z dalszej rozmowy dowiaduję się, że uprzejmy młodzieniec jest skrzypkiem z Hamburga. Zmobilizowany w Luftwaffe był w Afryce i we Włoszech, gdzie w spokojniejszych okresach grywał na skrzypcach. Podczas odwrotu ukrył je we Włoszech, aby ich nie podeptano w popłochu. Po zakończeniu wojny pojechał po nie nielegalnie do Włoch i wracał właśnie do rodzinnego miasta.

Mówimy zrazu o muzyce współczesnej, o organizacji życia muzycznego po wojnie, potem przechodzimy do tematów aktualnych. Mój rozmówca jest zdania, że w razie dalszego nacisku sowieckiego na linię demarkacyjną, Anglicy będą zmuszeni do odtworzenia armii niemieckiej i użyją w tym celu zgromadzonych w ich zonie jeńców wojennych. Armia okupacyjna amerykańska, powiada, jest w stanie samoczynnej demobilizacji. Niedługo Anglicy zostaną w Niemczech sami. Nie mogąc porzucić kontynentu tak łatwo, jak Amerykanie, i chcąc się na nim utrzymać, będą musieli zwrócić się do weteranów niemieckich. Rozwijając dalej swą myśl, mówi,

że Anglia nie uznając zachodnich granic Polski, rezerwuje sobie najwidoczniej możliwość ofiarowania Niemcom w tym wypadku terytoriów, które Sowiety obecnie przyznały Polsce. Po namyśle dodaje:

— «Ciekawe, co Anglicy ofiarują w tym wypadku swym polskim legionistom?». Pytam go, czy nie sądzi, że w walce między wielkimi mocarstwami ludom kontynentalnym najwygodniej byłoby zachować neutralność.

— «Niestety wydaje się to niedoścignionym ideałem. Niemcy są już i będą terenem walki, wynik jej zaś nie jest dla nas obojętny».

Uderza mnie u młodego artysty skłonność do rozważania spraw politycznych, wyłącznie jako zagadnień mechanicznej gry sił. Próbuję sondować go na ten temat. Odpowiada mi, że w obecnej polityce zwycięskich mocarstw czynniki moralne, czy religijne, nie grają żadnej roli, że pakt w San Francisco jest próbą narzucenia światu systemu, opartego na przemocy, i dlatego należy rozważać sytuację obecną tylko w kategoriach siły zbrojnej. Widzę, że młodzi Niemcy, wyszli ze szkoły hitlerowskiej, będą mogli nierównie łatwiej ode mnie znaleźć wspólny język z realistami brytyjskimi.

Pytam go, czy interesuje się procesem norymberskim. Odpowiada mi, że dla Niemców proces ten posiadałby olbrzymią aktualność i znaczenie praktyczne w 1938 roku. «Obozy koncentracyjne istniały już wówczas i były powszechnie znane. Wtedy jednak obecnym sędziom wydawało się korzystniejsze, uważać nazich za gentlemanów. My, Niemcy, musieliśmy znieść Hitlera, nie mając innego wyboru. Byliśmy w sytuacji, o której Włosi mówią: «O mangiare questa minestra, o saltare da questa finestra» *). Obcy natomiast, którzy przyjaźnili się i paktowali z Hitlerowcami, robili to z własnej woli, z gustu, z sympatii, z chęci zysku, i dziś są mało po-

*). «Albo zjedz tę zupę, albo wyskocz przez to okno».

wołani do sądzenia ich. Zresztą, jaki wpływ może mieć ten proces na wypadki, od których dziś wszystko zależy?».

Mój towarzysz nie ma ze sobą nic, prócz skrzypiec. Wielu, zwłaszcza jeżdżących nielegalnie, podróżuje dziś bez bagażu, nie jedząc nic całymi dniami. Jesteśmy obaj bardzo głodni i jemy po kawałku chleba z smalcem. Nie odważamy się spać, słysząc wciąż dokoła naszej kryjówki kroki i szepty. Mój towarzysz nie wypuszcza z rąk swych skrzypiec. Wreszcie koło północy wszystko ucicha i zapadamy obaj w głęboki sen.

* * *

Niejasny brzask oświetla ruiny. W ciszy słyhać tylko, jak dzwoni oblodzona fontanna. Zwijam szybko śpiwór i jem kawałek chleba z nienawistnym smalcem. Zostawiając towarzysza śpiącego ze skrzypcami w ręku, schodzę niezgrabnie po rumowisku cegieł i spieszę na Mirabellplatz.

Autobus miejski okazuje się starodawną skrzynią z drewnianymi ławkami, służącą niegdyś do transportu wojska. Jedzie z nami szofer i mechanik, mający naprawiać po drodze krnąbrny motor. Wśród czterdziestu podróżnych jest kilku Niemców z Rzeszy, resztę stanowią repatrianci tej samej kategorii, co ja, oddalający się od linii demarkacyjnej. Po wymowie poznaję Ukraińców galicyjskich i kubańskich. Podróżni, milczący zawzięcie, są Bałtami. Przez Sankt-Julienstrasse i Ludwig-Victorbrücke wyjeżdżamy na wspaniałą autostradę, t.zw. Reichsautobahn, całkowicie pustą, wiodącą do Monachium.

O kilka kilometrów za miastem autobus zatrzymuje straży graniczną. Na trawiastym pasie, dzielącym zwierciadła autostrady, stoi szklana budka, w której dokoła żelaznego piecyka śpi w fotelach z karabinami w ręku czterech żołnierzy U. S. Do autobusu wchodzi dwóch młodych ludzi w feldgrau, których wygląd zdradza od razu byłych «gerojów» z S. S.

Ze swadą zawodowego szantażysty jeden z nich ma dłuższą przemowę wzywając nas do dobrowolnego oddania wszystkich listów, każdego zapisanego lub zadrukowanego skrawka papieru, pieniędzy itp. Jako repatrianci mamy być przed opuszczeniem kraju najdokładniej ograbieni. Poprawnym wyjściem z tej opresji byłoby wyrzucić przez okno obydwu nazi i jechać dalej. Oglądam się na siedzącą za mną grupę Kubańców. Chłodny i mglisty ranek, niskie niebo i płaski krajobraz, pokryty żółtą trawą, mają jednak w sobie coś demoralizującego. Wszyscy patrzą uważnie na strażników, ale nikt nie zdradza przedsiębiorczości. Tymczasem podróżni, siedzący najbliżej drzwi, są już obszukani i w rękach strażników znajduje się już cała paczka listów i papierków.

W przyczepce, ciągniętej przez autobus, mam małą walizkę, a w niej kilka książek, sporo notatek i listów, których nie zamierzam oddawać wcale, nawet gdybym miał wracać do Salzburga i szukać innej drogi. Wstaję więc z miejsca, podchodzę do starszego rangą strażnika i zaczynam z nim mało przyjemną dla nas obu rozmowę. Po kilku minutach widzę, że nazi na służbie amerykańskiej, mimo ich całej bezczelności, nie czują się pewni. Każdy niemal Niemiec, mający dziś 20 do 40 lat, brał udział w okupacji kontynentu i ma niejedno na sumieniu. Każdego z nich dręczy pytanie; co będzie, jeśli mnie ktoś pozna? Widząc, że mój rozmówca szybko traci pewność siebie, proponuję mu 20 dolarów pod warunkiem, że natychmiast jedziemy dalej.

W dziesięć sekund później autobus znów toczy się dalej po autostradzie. Myślę o tym, że strażnicy, którzy za opłatą zgodzili się nie wykonywać przepisów okupanta i nie skorzystali z upoważnienia do ograbienia nas doszczętnie, nie są, być może, ludźmi najgorszymi. Właściwą przyczyną ich braku decyzji i konsekwencji zdaje się być ich okropne położenie moralne, paraliżujące zapewne wszelką inicjatywę. Jak oderwać się — w myśli chociażby — od takiej przeszłości?

Fakt, że dzisiejsi zwycięzcy są prawie równie bezmyślni i okrutni, jak zwycięzcy wczorajsi, nie przynosi tu żadnej ulgi. W położeniu takim chodzi nie o to, jak się wytłumaczyć i usprawiedliwić, ale jak ująć od mechanicznie powracających do świadomości wspomnień. Przypomina mi się właściciel kawiarni, obok którego leżałem w szpitalu w 1940 roku. W nocy budził się obłany potem, siadał na łóżku i patrzył przed siebie:

— « Każdej nocy budzi mnie wspomnienie pierwszego trupa, jakiego widziałem w sierpniu 1914. Leżał sam jeden na wznak z karabinem w rękę i miał tylko jedną ranę koło lewego kolana. Po tem widziałem tysiące trupów, ale pamiętam tylko tego jednego. Trup ten zaciążył na całym moim życiu następnym. Porzuciłem studia i zostałem właścicielem kabaretu, potem zaś dużej kawiarni w nadziei, że pośród muzyki, gwaru i alkoholu łatwiej pozbędę się tego wspomnienia. Wszystko na próżno. We dnie jestem z usposobienia wesoły i czynny, ale każdej nocy « on » wraca do mnie tak samo regularnie, jak podczas pierwszych dni tamtej wojny » Ile takich trupów widział każdy z dzisiejszych Niemców? Z takim wspomnieniem każdy jest sam. Nikt nie może oczekiwać, ani żądać, niczyjego współczucia; dzisiejsi Niemcy mniej niż ktokolwiek inny. To piekło wspomnień nie jest zresztą samo przez się żadnym zadatkiem poprawy, chyba tylko w tym sensie, że noszący je w sobie stają się słabi i chwiejni. Kto wie, jak długo przeszłość ta będzie ciążyła na Niemcach i na innych uczestnikach tej wojny?

Autostrada przecina cały kraj, przeskakując nierówności terenu po olbrzymich wiaduktach. Część ich została wysadzona w powietrze przez specjalne oddziały SS w ostatnich dniach wojny. Kilka razy zbaczamy z autostrady po stromych i śliskich objazdach. Z góry widzimy pod nami całe mosty, leżące na dnie doliny. Motor nasz kilka razy zatrzymuje się. Mechanik i szofer, w poszukiwaniu przyczyny złego, odkrę-

cają co raz nowe części maszyny, układając je ostrożnie na rozesłanym brezencie. Fakt, że mimo tych przeszkód ciągle posuwamy się naprzód, wydaje się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Wreszcie wczesnym popołudniem wjeżdżamy na przedmieście Monachium i w pół godziny później autobus zatrzymuje się przed dworcem.

Stary dworzec z czerwonej cegły, malowany w poprzeczne pasy jak kościół Mariacki, leży w gruzach. Poznaję go tylko po ocalałym pylonie. Dokoła stoją ruiny i zwały gruzu.

Szukam przyjaciół, mieszkających w okolicy dworca. Idę zrazu ludną Dachauerstrasse, która na pozór stoi nietknięta. Z bliska jednak na wszystkich domach widac ślady niedalekich wybuchów bomb. Mury są porysowane i odarte z tynku, drzwi i okna wysadzone z futryn, szyby zastąpione dyktą. Fasady niektórych domów są trudne do poznania; numery ich wypisano farbą na oszalowaniach zamkniętych sklepów. Na wszystkim leży warstwa czarnego kurzu. Ten sam widok na dalszych ulicach. Wchodzę wreszcie do jednego z tych smutnych domów: klatka schodowa ciemna; świecę latarką; na stopnie osypuje się tynk. W całym domu martwa cisza. Trudno zgadnąć, czy tu jeszcze ktoś mieszka. Dzwonię do znajomych drzwi, ale nikt mi nie odpowiada. Decyduję się szukać noclegów w obozie UNRRA w Deutsches Museum.

Z dworca jadę jedyнкą na Sendlinger Torplatz i Maximilian-Monument. Przystanki odległe są teraz od siebie o pół kilometra i na każdym z nich czeka kilkadziesiąt osób. Tramwaje idą co kwadrans, zatrzymują się na minutę i jadą dalej, nie zwracając uwagi na wsiadających. Kto nie zdążył wsiąść do przepełnionego wagonu, zostaje. Tłok jest tak wielki, że wsiąść do tramwaju jest sprawą wymagającą woli i decyzji.

Między dworcem i Sendlinger Torplatz widać same ruiny. Bruk jest pokryty szarą warstwą zmielonego na proszek tynku i cementu. Drzewa stoją bezlistne, jakgdyby zwiędły

w tym otoczeniu ruin i nędzy. Dopiero za Sendlinger Torplatz zaczynają się lepiej zachowane dzielnice.

Deutsches Museum stoi na wyspie wśród Izary. Gigantyczna budowla składająca się z wielu spojonych razem żelazo-betonowych czworoboków, powstała w ostatnim dziesięcioleciu. Ciemne mury ciągną się na przestrzeni kilkuset kilometrów. Budynek jest w kilku miejscach uszkodzony przez bomby i pożary, brak mu wielu okien, bramy stoją zamknięte i milczące. Dopiero ostatnia z nich jest otwarta i prowadzi do obszernego dziedzińca z monumentalnymi schodami, wiodącymi do przytułku UNRRA.

Wejście nie ma drzwi, zagradza je barykada ze spiętrzonych beczek. W wąskim przejściu między beczkami stoi policja obozowa sprawdzająca dokumenty: wejście jest tylko dla cudzoziemców. Po drugiej stronie barykady znajduje się o:brzymi hall, w którym w licznych grupach przechadza się około dwustu ludzi. Przez parę chwil błąkam się po hallu pilnie nasłuchując. Ponieważ uchodźcy z Zachodu powrócili już dawno do swych krajów, Deutsches Museum gości dziś tylko uchodźców z Europy Wschodniej. Nie bez pewnego wzruszenia poznaję po języku i wymowie ściślejszą ojczyznę każdego z mówiących. W wyobraźni przesuwają się przede mną szybko Kowno, Bratysława, Łódź, Czerniowce, Libawa, Belgrad, Równe, Uzhorod, Rawa Ruska, Berdyczów... Głosy te uprzytomniają mi, jak dalece jestem wciąż Europejczykiem wschodnim. Z każdym z tych miejsc związana jest jakaś część mojej przeszłości. Wiem jak szumią tamtejsze rzeki, jakie łowią w nich ryby, jakie pieśni śpiewane są na Wielkanoc i o czym się mówi o zmierzchu. Gdybym do któregośkolwiek z nich mógł wrócić, odrzuciłbym truciznę myśli i żył przez pewien czas biernie, jak ziemia karmiona światłem i deszczem.

Staję w kolejce nowoprzybyłych. W okienku dowiaduję się, że wprawdzie przepisy nie pozwalają mi tu nocować, niemniej jednak otrzymam kartkę pozwalającą mi być przez trzy

dni gościem obozu. Miejsce do spania otrzymuję na pierwszym piętrze w sypialni dla izraelitów.

Zapoznając się z topografią i organizacją obozu. Obliczony na potrzeby muzealne, budynek nasz ma dwa piętra. Każde z nich można obejść dokoła okrężnym korytarzem, wzdłuż którego leżą halle przechodnie oraz sale i ubikacje różnej wielkości. Na parterze mieści się, oprócz hallu wejściowego, kilka wielkich sal. W jednej z nich udzielane są informacje, dwie są jadalniami, jedna przeznaczona jest na koncerty i przedstawienia teatru obozowego. Przez całe popołudnie dochodzą z niej dźwięki muzyki. Na pierwszym piętrze sale posiadające okna obrócono na sypialnie. Na innych mroźny wiatr świszcze wśród okopconych ścian.

W sypialni znajdują koło dwudziestu drewnianych, dwupiętrowych prycz. Na każdej z nich leży brunatny siennik. Słoma zmieniła się w nim z czasem w drobną sieczkę, jakgdyby nocowały na niej po kolei wszystkie pokolenia od Abrahama.

Zarząd obozu jest w rękach UNRRA i zatrudnia, jako niższych urzędników, sporą ilość uchodźców. Już na pierwszy rzut oka uderza w organizacji obozu jej charakter fasadowy. Jak na statku niewolników w balladzie Heinego, strona zabawowa życia obozowego jest ogromnie rozbudowana: codzienne koncerty, performance baletu obozowego itd. Natomiast organizacja życia codziennego, zwłaszcza w jego części materialnej, jest bardzo zaniedbana. Ani śladu sławnego amerykańskiego geniusza organizacyjnego. Tak np. magazyn obozu posiada wielki zapas ciepłych koców, które każdy może wypożyczyć na noc, zostawiając swój dowód osobisty. Już przed 7-mą wieczorem w hallu pierwszego piętra tworzy się przed magazynem długa kolejka, w której trzeba stać przynajmniej godzinę na lodowatym wietrze. Słabsi nie wytrzymują tego systemu i z każdej sali wysyłani są delegaci z dokumentami. Taka sama kolejka tworzy się z rana przy oddawaniu koców.

Przechowalnia bagażu otwarta jest od 7-ej do 21-ej. W

1919-1920: Jeszcze więcej zgliszcz. Zdewastowane lasy. Miasta w ruinie. Całe dzielnice puste. Martwe domy bez drzwi i okien. Na murach niskie ślady kul wskazują, gdzie «stawiano pod stienku».

1922: Całkowicie odbudowane i starannie zamiecione miasta. Planty i gazony. Na wsi wszędzie nowe domy kryte dachówką. Uderza niezwykła taniość i różnorodność środków spożywczych.

Takiej metamorfozy nie widziało żadne z wielkich mocarstw. W mniejszym stopniu i przy większej nierówności społecznej przeszły ją później inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Tak całkowita i nagle metamorfoza dnia powszedniego mogła być dokonana tylko przez kumulującą się w ciągu pokoleń potęgę tego samego marzenia, które niósł z sobą na wygnanie mój rozmówca w kałesonach.

Odżywianie się w Deutsches Museum stoi na poziomie umywalni. W ciemnej jadalni nieumyte stoły i ławy. Przed bufetem tworzy się długa kolejka. Aby otrzymać swą porcję, trzeba mieć własne naczynie. Kto go nie posiada, nie może jeść. Stara litrowa puszka jest skarbem. W kuchni można za protekcją pożyczyć taką puszkę na pół godziny. Porcje są ograniczone pojemnością naczyń. Moja menażka ma pojemność $1/3$ litra.

Z rana dostaję ćwierć funta białego chleba i jedną trzecią litra białej kawy ze skondensowanym mlekiem. Na obiad taka sama ilość chleba i gęstej owsianki. Po kilku tygodniach takiego wiktus skorbut wyjada się nieunikniony. Niewielu jednak hospitantów doczeka swego skorbutu w obozie. Pierwszego wieczoru w sypialni zjawia się komisja, która sprawdza dokumenty i — k'rucząc się nieznanymi bliżej kryteriami — odbiera części uchodźców ich legitymacje obozowe i każe im następnego ranka opuścić Deutsches Museum. Los ten spotyka i mnie. Uchylam się odeń przez odwołanie się do Zarządu, który przecież przed paru godzinami pozwolił mi na trzy-

dniowy pobyt w obozie. Pytam wydalonych, dokąd pójdą następnego dnia ale żaden z nich nie umie mi o tym nic powiedzieć. System — jakkolwiek mniej brutalny — jest więc tu taki sam jak w Salzburgu.

Od starszych bywalców Deutsches Museum dowiaduję się że wiele zmieniło się tu na gorsze od lata, kiedy uchodźców traktowano mniej brutalnie i odżywiano nierównie lepiej. Zmiany te tłumaczą chęcią władz okupacyjnych, pozbycia się za wszelką cenę uchodźców z Europy Wschodniej i zmuszenia ich głodem i złym traktowaniem do wyjazdu do zony sowieckiej.

Życie jednak płynie na wspak życzeniom amerykańskich okupantów. Wieczorem w hallu wejściowym widzę długą kolejkę nowoprzybyłych, jeszcze bardziej nędznych i obdartych od starych hospitantów obozu. Wszyscy przyjechali świeżo z zony sowieckiej

Naprzeciwno Deutsches Museum, na drugim brzegu Izary, stoi miejski zakład kąpielowy, das Volksbad. W zarządzie obozu — udzielając jednej z tak licznych w Niemczech nieścisłych informacji — radzą mi nie korzystać z umywalni obozowej, ale udać się w tym celu do Volksbadu.

Miejski zakład kąpielowy, ufundowany niegdyś przez jednego z Wittelsbachów, jest budynkiem względnie nowym, obliczonym na to, co Niemcy nazywają Massenbetrieb. Za kąpiel płać przy wejściu 75 fenigów. Całe wnętrze budynku — wraz z ogromnym hallem o kamiennej posadzce — wypełnia mdłe, wilgotne ciepło. Na ławkach i schodach siedzą setki osób. Łaziennicy wywołują numery biletów « Patrzę na mój i stwierdzam, że od kąpeli dzieli mnie jeszcze 400 numerów. Tyle mniej więcej osób czeka na schodach, prowadzących do wani. Po kwadransie obliczam, że do końca dnia będzie mogła wykąpać się w najlepszym razie połowa czekających. Oglądam jeszcze raz mój bilet i widzę, że jest ważny tylko na dzień dzisiejszy. Nikt się tym jednak nie zraża. Wszyscy czekają

spokojnie i cierpliwie, w nieruchomych postawach. Wielu czyta książki.

Przyglądam się uważniej tej dziwnej publiczności, mało podobnej do tej, jaką oblega dworce kolejowe i tłoczy się w tramwajach. Długie włosy, szczupłe, matowe twarze, chude ręce o czystych paznokciach. Poznają w nich resztki inteligencji monachijskiej, dawnych słuchaczy Maxa Schelera, towarzyszy zabaw Huga Ball'a, bywalców café Stephanie i koncertów w sali Vier Jahreszeiten. Co im zostało z tych dni, prócz, wspólnej całej inteligencji, ułomności zwanej kryeshezją, to jest nadmiernej wrażliwości na zimno? Długie, nieruchome godziny, jakich wymaga praca myśli, są nieznośne w nieogrzewanym mieszkaniu. Nigdy zaś może myśl nie wymagała tylu nieruchomych godzin skupionego wysiłku, co dziś, i nigdy ucieczka odeń nie była tak trudna. Już sama bierna obrona myśli od bólu, jakim przeszywa ją narastanie chaosu, wymaga długiego, uporczywego skupienia, oswojenia dzikich skoków historii, ułożenia szarpiających wyobraźnię zjawisk w formę, pozwalającą chociażby na ich przytomną enumerację. W poszukiwaniu dobroczynnego ciepła, inteligencja monachijska wykupuje beznadziejne bilety kąpielowe, aby spędzić kilka godzin w ogrzewanym budynku. Nie słysząc w nim żadnych rozmów. Wszyscy trwają w milczącym oczekiwaniu.

Patrząc na tyle znanych jako species twarzy, przypominam sobie pierwsze spotkanie z monachijską inteligencją. Przed trzydziestu kilku laty pociąg przywiózł mnie z Wiednia wczesnym rankiem, w ciepły jesienny dzień. Jadąc do głównego ośrodka artystycznego Niemiec, ubrany byłem w czarną welwetową kurtkę i krawat Lavallière. W tym stroju szedłem powoli z dworca w kierunku Schwabingu, szukając po drodze pokoju do wynajęcia. W okolicy Königinplatz, o kilka kroków przede mną zatrzymał się otwarty automobil, obwieszony girlandami róż. Wysiadł zeń człowiek lat trzydziestu, będący tworem pośrednim między Alcybiadesem i Filipem Eulenbur-

giem, za nim zaś dwóch innych o ruchach tak miękkich jak koty efebów. Wracali z członocnej hulanki, byli b'adzi. Spojrzenia ich były zarazem euforyczne i skupione, jak przystało młodzieży, która podjęła zadanie ścigania w samochodzie nieuchwytnego snu o Grecji.

Chciałbym wiedzieć, czy jeden chociażby z trzech efebów jest dziś jeszcze przy życiu. Byłby mniej więcej w moim wieku. Jeżeli dobroczynne szaleństwo nie zamroczyło mu umysłu, życie jego musiało być nieustannym cierpieniem. Być może zdawał sobie sprawę, że ich groteskowy samochód zbliża się do miejsca katastrofy według napisanej już wówczas recepty mistrza tego całego pokolenia, R. M. Rilkego:

Denn das Schöne ist nichts als des Schrecklichen Anfang.

Tego ranka już tylko niespełna dwa lata dzieliły ich od wybuchu pierwszej wojny, 11 lat od pierwszego Putschu Hitlera i 34 lata od zagłady miasta.

• 22 1946

Zapoznając się z nową topografią miasta lub raczej jego ruin. Centrum handlowe, które oglądałem wczoraj, leżące między dworcem i Sendlinger Torplatz, jest prawie zupełnie zniszczone. Gdziekolwiek tylko widać niewielkie wysepki domów zamieszkałych. Życie przeniosło się na południe miasta, gdzie stoją jeszcze nietknięte całe dzielnice. Zarząd wojskowy Bawarii — Military Government — mieści się jeszcze dalej w Bogenhausen, mało dawniej znanym przedmieściu o charakterze willowym, leżącym za Izarą, na wzgórzach dokoła obserwatorium.

Ani Bogenhausen, ani ocalałe dzielnice handlowe, nie są jednak właściwym Monachium i mogłyby się równie dobrze

znajdować w każdym innym mieście. Niektóre ulice handlowe, zwłaszcza w ich obecnym stanie zaniedbania, przypominają nawet naszą Muranowską. Właściwym środkiem miasta, stanowiącym o jego indywidualnym obliczu, było jego centrum monumentalne, powstałe z szaleństwa architektonicznego Ludwika II. Dzielnica ta rozciąga się na znacznej przestrzeni w kierunku Schwabingu, na północ od dworca i Frauenkirche. Kto był chociażby jeden dzień w Monachium, tę dzielnicę najlepiej pamięta.

Zbliżając się do niej, mam przecucie, że zniszczenia muszą tam przechodzić wszystko to, co widziałem dotąd w Niemczech. Z daleka już, patrząc w przerwy między ruinami, widzę Frauenkirche, wyglądającą tak, jakgdyby stała samotnie na niewielkim wzniesieniu. Nigdy przed tym jej tak nie widziałem. Według mej pamięci otaczały ją wąskie uliczki o 6-cio — piętrowych domach. Cała ta dzielnica więc musiała zostać zrównana z ziemią.

Stare wyrażenie, «zrównać z ziemią», nie odpowiada dokładnie zniszczeniom powstałym wskutek nalotów bombowych. Zburzone przez wybuchy domy murowane tworzą nieraz wcale okazałe pagórki gruzu. W ruinach konstrukcji żelazno-betonowych nad rumowiskiem wznoszą się jeszcze szczątki żelaznego rusztowania, wiszące w powietrzu kłębowisko poplątanych szyn i rur. Dopiero po mozolnym uprzątnięciu gruzów dzielnica jest istotnie zrównana z ziemią. W pierwszych latach wojny, po każdym bombardowaniu, natychmiast uprzątno gruzu. Używano do tego dźwigarów, jadących na gąsienicach. Ślady ich, które brałem zrazu za ślady tanków, widać wszędzie na asfaltowych brukach. W ostatniej fazie wojny narastające masy gruzów przerosły szybko zdolności transportowe przedsiębiorstw, zajętych ich uprzątnięciem. Poprzestano więc na uwalnianiu od gruzów jezdni ulic, w celu utrzymania komunikacji. Wreszcie uprzątno tylko główne arterie. Gdzieś, nigdzie poprzebijano przez ruiny wąskie przejścia dla pieszych,

dla stworzenia łatwiejszego dostępu do grup domów jeszcze zamieszkałych. Miejscami przejścia te łączą się ze sobą, przecinając całe dzielnice i tworząc zupełnie nowe arterie komunikacyjne.

W miarę, jak posuwam się naprzód, drożność ulic maleje. Trafiam na ulice zupełnie zatarasowane gruzem i zamknięte dla ruchu. Na innych rumowiska sięgają połowy jezdni. Domyślałam cię że środek miasta musi być niezamieszkały i przebijanie doń dostępu nie jest pilne. Widzę coraz mniej przechodniów. Wreszcie jestem sam i słyszę — jak w nocy — echo własnych kroków wśród murów.

Na koniec wychodzę z murów i mam przed sobą otwartą przestrzeń placów otaczających niegdyś muzea. Stojące tu z rzadka ruiny mają zupełnie inny charakter i przypominają szczątki świata starożytnego. Nawet leżące w gruzach szaleństwo budowlane Ludwika II nosi rysy sławnych pierwowzorów. Obok szczątków Glyptoteki, na szerokich kamienich płytach bruku leżą strzaskane kolumny i olbrzymie kamienne głowy posągów z greckimi brodami. Obie pinakoteki są zburzone. Po pożarze każda z nich dostała nadto po jednej bombie wybuchowej, która zostawiła wyrwę w środkowej części budynku. Przez wyrwy te widać wewnątrz pustkę po zawałonych piętach. Pokryte kraterami bomb i usypane kamieniami trawniki porosły dzikim chwastem. Jedynym zachowanym pomnikiem jest obelisk na Karolinenplatz. Wysoka iglica z czarnego kamienia stoi samotna wśród ruin. Jej smukły kształt oparł się widocznie naporowi powietrza, który obalił mury otaczających domów.

Na północ od dzielnicy muzeów widać wyłącznie niemal działanie bomb zapalających. Kilkadziesiąt ulic stoi na pozór całych. Są to jednak tylko szkielety domów. Przez wszystkie okna widać wewnątrz niebo. Na rogach ulic można gdzieś niegdzie czytać jeszcze ich nazwy, martwe jak na nagrobkach.

Mimo południowej pory pustka całkowita. W całej dzielnicy więc nie ma ani jednego ocalałego mieszkania.

Przez całą godzinę wędruję po znajomych niegdyś ulicach. Mieszkało tu zamożne mieszczaństwo, abonenci monachijskiej Jugend, czytelnicy Ottona Juliusza Bierbauma, kolekcjonerzy obrazów i mebli, posiadacze prywatnych bibliotek. Niemcy nie znały kryzysów mieszkaniowych, i ludzie zamożni posiadali nieraz bardzo obszerne mieszkania, wypełnione gromadzonymi od kilku pokoleń meblami. Objaśnia mi to, czemu właśnie ta dzielnica padła od razu pastwą płomieni. W całej kamienicy mieszkało tu niegdyś po kilkanaście lub nawet tylko kilka osób, przeważnie starszych. Wojna wypędziła z nich resztę młodzieży. Przy tak rzadkim i mało przedsiębiorczym zaludnieniu obrona bierna była niedostateczna i bomby zapalające mogły od razu obrócić w pustynię całą dzielnicę.

Zupełnie inaczej wyglądają gęsto zaludnione dzielnice robotnicze. Puste są tam jedynie domy zrujnowane przez bomby wybuchowe. Wszystkie inne, nawet częściowo uszkodzone przez pożary i ciśnienie powietrza, są jako tako naprawione i zamieszkałe. Ludność broniła tam swych domów, ustępując dopiero przed bombą wybuchową. Każdy dom z jego łatanym dachem i okopconymi facjatami jest tu świadectwem walki ludności o swe mieszkania. Walka ta nie była bezskuteczna, bo żadna z widzianych przeze mnie dzielnic robotniczych nie jest ruiną totalną, całkowicie niezamieszkałą. Dodać należy, że elektryczne dzielnice robotnicze — jak np. Pasing — mało stosunkowo ucierpiały od bomb .

W zamożnym niegdyś centrum nie widać żadnych śladów walki. Całe ulice stoją nietknięte przez wybuchy, ale całkowicie spustoszone przez ogień.

To samo dotyczy dzielnic muzeów, gdzie ludność była jeszcze rzadsza. Na otaczających je skwerach widać wejścia

do prymitywnych schronów podziemnych, mówiących raczej o ucieczce, niż o obronie.

Widok tej części miasta nasuwa mi różne refleksje.

Dla wyżej przytoczonych motywów dzielnica muzeów i przyległa do niej część miasta przedstawiała dla lotnictwa punkt najmniejszego oporu, gdzie same bomby zapalające powodowały całkowite zniszczenie. Na próżno jednak szukam w myśli celu, jaki stawiało tu sobie lotnictwo bombowe. Jak okiem zajrzeć, nie ma tu żadnych obiektów wojskowych, ani przemysłowych, żadnych biur administracyjnych. Bardzo wątpliwe też wydają się cele pośrednie nalotów, jak stworzenie trudności komunikacyjnych — bo żadne ważne arterie tu nie przechodzą — lub powiększenie ludności bezdomnej — bo tu właśnie było jej najmniej. Dla tych przyczyn brakło też tutaj biernej obrony przeciwlotniczej. Mieszkający tu bawarscy mieszczaństwo i szlachta nie przedstawiali dla władz hitlerowskich żadnej wartości.

Naloty na tę część miasta musiały więc mieć inny cel pośredni, związany z tradycjami miasta i jego znaczeniem w życiu Niemiec.

Tu wśród reminiscencji budowlanych greckich i włoskich, Niemcy poszukiwali długo samych siebie. Z poszukiwań tych wyrosła pewna wersja cywilizacji germańskiej, przeciwstawiająca się przez kilka pokoleń wersji pruskiej, która wzięła górę w czasach Bismarcka.

Cywilizacja germańska mimo wszystkie próby jej ujednostajnienia, posiada wciąż kilka wersji historycznych i nie jest związana z losem jednej stolicy. Z różnorodności płynie jej zdolność i nadzieja odnowienia. Kiedy militarna wersja pruska wyczerpie się w bezpłodnych walkach o panowanie nad światem, cywilizacja germańska odnowi się, być może, ze swej wersji nadreńskiej, austriackiej, bawarskiej, saskiej, hanzeatyckiej... Odnowa musi powstać naprzód w myśli ludzi żywych, kto jednak zna historię wielkich prądów naszej cywilizacji, re-

nesansu, klasycyzmu, romantyzmu, ten wie, ile myśl zwykła czerpać z budynków i pomników. Czy bez starego Drezna, Monachium i Frankfurtu Niemcy potrafią wrócić do źródeł swej cywilizacji przedbismarckowskiej i do tkwiącej w niej siły odnawiającej?

Naloty na stare dzielnice były zatem groźbą: jeżeli nie skapitulujecie natychmiast pozbawimy was przeszłości, zasypiemy gruzami dostęp do źródła waszych tradycji i nadziei. Dziś wiemy, że ani groźba, ani jej wykonanie nie odniosły na razie żadnego skutku. Stało się to przede wszystkim dlatego, że Niemcy hitlerowskie nie miały zamiaru bronić przeszłości i tradycji. Ich narodowy socjalizm, podobnie jak komunizm sowiecki, powstał i prądów antyhistorycznych i patrzył na tysiąc lat naprzód, nie oglądając się za siebie.

Skutki systematycznego burzenia starych miast przez lotnictwo ukażą się zapewne dopiero w przyszłości. W wyniku ich uległa proletaryzacji część ludności zamożnej, najbardziej związana z tradycją i znikła połowa pomników cywilizacji germańskiej poprzedzającej hegemonię Prus. Trudno przewidzieć dziś, czy fakty te będą miały rozstrzygający wpływ na przyszły rozwój wewnętrzny Niemiec. Rozstrzygający, lub nie, wpływ ten będzie popychał Niemcy w kierunku nowego antyhistorycyzmu i nowych odmian narodowego komunizmu. Widok ruin monachijskich uświadamia mi, że wojna została wygrana przez mocarstwa pozaeuropejskie, których ludność nie ma żadnej przeszłości i nie wie, na co taka rzecz może się przydać. Przypomina mi to rozważanie angielskiego historyka na temat, w jakim celu Dżyngis-Chan masakrował ludność podbitych krajów. Nie znajdując żadnego rozumnego objaśnienia tego zjawiska, historyk zadawał się przypuszczeniem, że — jako szef barbarzyńskich Nomadów — Dżyngis-Chan nie znał wartości pracy i nie wiedział, co począć z takim mnóstwem ludzi.

Do karawanseraju w Deutsches Museum przybywają już od rana nowi uchodźcy z zony sowieckiej. W hallu wejściowym można by prowadzić wcale dokładną kronikę wypadków w całej Wschodniej Europie. Mam wrażenie, że nikt się tym nie interesuje. Ludy Zachodu oddały wschodnią część kontynentu Sowiecom, uważając tę sprawę za załatwioną i utraciły wszelką ciekawość do tego, co tam się dzieje. Jakie pismo drukowałoby dziś taką kronikę?

Do naszej sypialni przychodzi z rana dezerterski z polskiej milicji ludowej. Jest byłym uczniem szkoły średniej, wygląda na lat 17 i znajduje się w stanie zupełnego wyczerpania. Leżąc na pryczy, słabym głosem opowiada mi swoją smutną historię.

Latem został zmobilizowany i po krótkim wyszkoleniu wcielony do samodzielnego batalionu milicji, mającego za zadanie zwalczanie bandytyzmu. Wspólnie z taką samą jednostką sowiecką batalion ten zostaje wysłany na Lubelszczynę.

— «Od chwili wyjścia z koszar, — powiada, — nie dostaliśmy ani jednej porcji żywności. Nasi sowieccy koledzy, przywykli do życia na koszt ludności, grabili spotykane po drodze wsie. Z początku wstydziliśmy się grabić swoich, ale po kilku dniach wielu z nas z trudem tylko trzymało się na nogach. Zaczęliśmy więc rabować też na swoją rękę i tak przeszliśmy znaczny szmat kraju. Wreszcie stanęliśmy przed lasami, w których ukrywała się szajka bandytów. Przez dwa dni oba bataliony posuwały się ostrożnie w głąb lasu, na pozór zupełnie pustego. Na trzeci dzień doszliśmy do kryjówek bandytów i zawiązała się walka. Tak zwani bandyci okazali się wytrawnymi żołnierzami uzbrojonymi i wyszkolonymi nierównie lepiej od naszej milicji. Batalion nasz został całkowicie rozбит i po szybkiej ucieczce przy dowódcy zostało tyl-

ko 26 milicjantów. Niewiele lepiej wyglądał towarzyszący nam batalion sowiecki. Tego dnia postanowiłem uciec do Niemiec i zacząłem szukać stosownej okazji, aby nie narazić na przesładowania bliskich sobie osób, bo rodziny milicjantów uważane są za zakładników».

Z rana idę do przyjaciół, których szukam na próżno od dwóch dni. Tym razem zastaję ich w domu. Idziemy razem do ich znajomych, przybyłych świeżo ze Wschodu. Słucham obszernej relacji o przebiegu wypadków w Europie Wschodniej po 1942 r. Wieczorem dopiero wracam do karawanseraju w Deutsches Museum, z którym, mimo zaproszeń przyjaciół, nie chcę się rozstać.

Opowiadania moich nowych i starych przyjaciół obalają wszystkie prawie moje dotychczasowe pojęcia o froncie wschodnim, znanym mi dotąd jedynie z komunikatów i komentarzy t.zw. ekspertów wojskowych.

Dowiaduję się, że kryzys frontu wschodniego zaczął się już jesienią 1942 roku. Jego przyczyną była polityka partii i wojska, dążąca do wytępienia ludności na wschodnich terenach okupowanych. Zagrożona nią ludność zaczęła uciekać, gromadząc się zwłaszcza w strefie leśnej, rozciągającej się między Bałtykiem i Karpatami.

Latem 1942 w lasach powstał ruch partyzancki. Pierwszymi jego organizatorami były drużyny bojowe Ukraińców galicyjskich, którzy — po nieudanym proklamowaniu niepodległości we Lwowie latem 1941 i represjach niemieckich — znaleźli się w otwartym konflikcie z okupantami.

Organizacja partyzantów posiada dwa piętra. Pierwsze tworzy uzbrojona i wyszkolona ludność rolnicza terenu, broniąca swych gmin i podstawy aprowizacyjnej ruchu. Drugie tworzą oddziały lotne, gromadzące się w punktach zagrożonych.

Broniąc strefy leśnej, przez którą przechodziły wszystkie drogi idące na front, partyzanci stworzyli na tyłach niemie-

ckich niepokonane trudności transportowe i organizacyjne. Reakcje armii niemieckiej, ekspedycje karne, palenie wsi i «niszczenie» ludności nie odniosły skutku. Odcięty od swych tyłów front niemiecki zmieniał się z biegiem czasu w co raz cieńszy łańcuch, t.zw. Igelstellungen, których garnizony, przywiązane do nagromadzonych zapasów żywności i materiału wojennego, traciły co raz bardziej zdolność manewrowania. Pod pierwszym silniejszym naciskiem wojsk sowieckich w 1943-44 front ten załamał się jak domek z kart w ciągu kilku tygodni.

Nadciągającej za uciekającymi Niemcami armii sowieckiej również mało dogadzała obecność na jej tyłach partyzantów. Pierwszym odruchem czerwonych była próba likwidacji partyzantów manu militari. Małe powodzenie tej próby i pilne zadania inne, stojące przed armią sowiecką, zmusiły ją do zmiany taktyki i unikania wojny otwartej z partyzantami. Na większą skalę działania zbrojne podjęto przeciw nim dopiero w październiku 1945 r.

Nie jest rzeczą łatwą wywabić z lasów i rozbroić ludzi, którzy przez cztery lata stawiali opór armii niemieckiej i swej straszliwej wolności leśnej poświęcili dom i rodziny, spalone żywcem przez SS-ów. Aby nakłonić ich do wyjścia z kryjówek, wypadało zaproponować im coś innego niż to, co mogła im ofiarować okupacja sowiecka.

Na przykładzie partyzantów widać granice terroru, działającego najbardziej przez wyobraźnię. Ze strachu umierają najczęściej w łóżku, w ciepłym mieszkaniu. Przed plutonem egzekucyjnym wszyscy prawie odzyskują odwagę, zachowując się z godnością i prostotą.

W celu złamania moralnego okupowanego kontynentu, Niemcy wprowadzili system zakładników, bezwzględne tępienie opornych wraz z rodzinami, palenie wsi i masowe przesiedlania ludności, uciekając się od razu do środków, które sam Machiavelli uważa za ostatnie rekursy dyktatury, wątpiąc,

aby znalazło się wielu despotów, chcących utrzymać się przy władzy za taką cenę. Granica skuteczności terroru została szybko przekroczona, i Niemcy znaleźli się wobec woli oporu, na którą przestała działać obawa represji. Opór zbrojny i ruch partyzancki pojawiły się wszędzie jako samorzutna twórczość ludowa, reakcja ludności kontynentalnej na bezprawie i okrucieństwo okupantów.

Swą siłę moralną opór zbrojny czerpał stąd, że odpowiadał jasno na ciężące wszystkim pytania o nadziei i wolności. «Czy system władzy, opartej tylko na samej przemocy, może się długo utrzymać?». Pytania te tłoczyły się we wszystkich głowach. «Nie», odpowiadali partyzanci, «system ten nie da się utrzymać i my sami obalimy go, lub przetrwamy». W ustach ich odpowiedź ta miała szczególną wagę. Partyzanci palili za sobą mosty i wchodzili na drogę bardzo niebezpieczną, wymagającą najdokładniejszego obliczenia sił swoich i przeciwnika. Powodzenie — chociażby częściowe — ich akcji ujawniało niewidoczną przedtem granicę potęgi największych mocarstw świata i szerzyło nadzieje, jakich, rzecz prosta, nie mogły obudzić wykrętne i nieszczerze obietnice mężów stanu.

«Czy milczące oczekiwanie, w jakim trwa ludność kontynentu, nie jest już uznaniem istniejącego porządku?» — pytali inni. «Jeżeli uznamy, chociażby tymczasowo, narzucony przemocą porządek, czy powrót do wolności będzie kiedykolwiek możliwy?». Wielu ludzi prostych sądziło i sądzi nadal, że czasowa nawet rezygnacja z ich praw grozi utratą wolności na długie okresy czasu, i że w konsekwencji najważniejszym zadaniem kontynentu jest nieuznawanie pod żadnym pozorem faktów dokonanych i porządku narzuconego siłą zbrojną. Dopóki opór czynny istnieje, jasne jest, że porządek ten nie jest trwały, ani uznany, skoro tylu młodych i starszych ryzykuje życie w akcji protestacyjnej. Dlatego zasięg ruchu oporu jest znacznie większy, niż liczba jego aktywnych uczestników. Sprzyjają mu wszyscy, którzy w myśli swej nie kapitulowali

przed siłą i widzą w oporze zbrojnym zadatek powrotu do woľności i legalności władzy.

Jak każda samorzutna improwizacja ludowa, opór zbrojny posiada swe blaski i cienie. W jego okrytych tajemnicą szeregach sasiadują często idealści, bohaterzy, bandyci i prowokatorzy. Siła jego — jak mówiliśmy — nie leży jedynie w naturze jego czynów, lecz w sytuacji ogólnej, z której ruch ten wziął początek.

Nieraz już widziano, że w okresach bezprawia i przemocy lud widział obrońców swych raczej w zuchwałych rozbójnikach niż w krzywoprzysiężnych sędziach i gubernatorach, przehandlowanych między cesarzami prowincji. Dziś Europa weszła znów w jeden z takich okresów.

Takie były przesłanki powstania oporu zbrojnego na całym kontynencie. W jego części wschodniej, gdzie presja okupantów była bardziej bezwzględna i tradycja nielegalności silniejsza, ruch ten przybrał większe rozmiary i zaważył znacznie — być może rozstrzygająco — na przebiegu wypadków wojennych. Początki oporu zbrojnego były podobne na całym kontynencie, dalsze jego losy były jednak zgoła odmienne na Wschodzie i na Zachodzie Europy.

Na Zachodzie opór zbrojny doczekał się oficjalnego uznania, został obsypany kwiatami i orderami, aby powoli, wraz z powrotem do legalności, złożyć w koszarach swe kaemy i bądź wciągnąć się w szeregi armii regularnej, bądź też wrócić do życia cywilnego... W Europie Wschodniej zabrakło legalności i innych warunków niezbędnych do powrotu partyzantów. W tej części Europy opór zbrojny nie znalazł żadnego, nawet milczącego uznania. Zastanawia np. fakt, że prasa anglo-amerykańska jednomyślnie nazywa «bandytami», «faszystami» i «własowcami» partyzantów, którzy podczas wojny położyli tyle zasług dla Aliantów, paraliżując od wewnątrz armię niemiecką. Samorzutny ludowy ruch oporu przeciw bez-

prawiu i przemocy nie znalazł w opinii Zachodu żadnego zrozumienia, ani zainteresowania.

Fakt ten każe przypuszczać, iż istniejący dzisiaj jawnie rozdzźwięk między Wschodem i Zachodem nie ogranicza się do kontrowersji dyplomatycznych, ale sięga nierównie głębiej. Wzajemna pogarda i lekceważenie ogarnęły szerokie warstwy ludności, schodząc aż do głębi lasów i błot, gdzie nikt przedtem nie słyszał o przeciwstawnościach cywilizacji wschodniej i zachodniej.

Przepaść dzieląca dziś Wschód i Zachód otwiera się na każdym kroku pod naszymi stopami. Na uchodźców ze Wschodu władze okupacyjne anglo-amerykańskie patrzą dziś mniej więcej tak, jak nazi patrzyli na żydów i cyganów. Nie palą ich wprawdzie w krematoriach, ale — co nieraz na jedno wychodzi — odmawiają im prawa azylu, starają się «so oder so», jak mawiał Hitler, odstawić ich z powrotem na linie demarkacyjną, z całkowitą pogardą dla życia i godności człowieka.

Przymusowe odesłanie do Unii sowieckiej opierających się powrotowi jeńców i robotników wydało nieobliczalne i nieprzewidziane następstwa. Wielu z nich już nie żyje. Inni wędrują przez niezmierzone równiny, głosząc po drodze swą smutną historię. «Anglicy i Amerykanie», powiadają, «są prawdziwymi handlarzami krwi ludzkiej. Dopóki byliśmy im potrzebni na mięso armatnie, obiecywali nam wolność. Kiedy się wojna skończyła, pędzą nas do rzeźni, aby zaoszczędzić na naszym wyżywieniu». «Wszystko to, aby móc lepiej karmić Niemców», dodają drudzy. Opowiadania te znajdują, oczywiście, większy posłuch niż prasa rządowa. Słuchacze przypominają sobie, że ministrowie angielscy i amerykańscy, cierpiwie czekający w przedpokojach Kremla z kapeluszami w ręku, nie znaleźli żadnych słów pociechy i nadziei dla obywateli Unii sowieckiej. «Co mieli nam mówić?» powiadają. «Czy się mówi do połędwicy? Nie. Aby ją kupić.

trzeba mówić z rzeźnikiem. Anglicy i Amerykanie jeździli do ojca Stalina kupować nasze mięso armatnie i aby dobić targu, gotowi byli na wszystkie ustępstwa, zwłaszcza kosztem innych krajów ».

Przyjeżdżający ze Wschodu przywożą liczne echa takich konwersacji. Nie trudno się domyśleć, jak niewygodnie jest dziś władcom Kremla uchodzić za ludzi, którzy — chociażby za wysoką cenę — sprzedali swych poddanych na mięso armatnie. Zrozumiała irytacja ich znajduje swój wyraz w arogancji okazywanej przez nich wczorajszym alinatom i broniącej ich poniekąd od takich podejrzeń.

Mit nienawistnego «kapitalisty», krwawą ręką zgarniającego pieniądze, pochodzące z krzywdy i przemocy, odżył znów w Unii sowieckiej, tym razem bez większego udziału propagandy oficjalnej. Stanowi on ważną część przygotowania psychologicznego Unii do przyszłego konfliktu między aliancami.

Czy konflikt ten nastąpi, czy nie, jest jasne, że napięcie między aliantami ogarnęło zbyt wielkie masy ludzkie, aby mogło być zażegnane przez szczęśliwą redakcję tej lub innej formuły dyplomatycznej. Stosunki między Wschodem i Zachodem Europy weszły w «czasy pogardy», która powoli zaczęła trawić też opuszczoną przez wszystkich bogów zonę wpływów sowieckich. Być może miną pokolenia, zanim wzajemna pogarda ustąpi miejsca jakimś bardziej ludzkim uczuciom.

27 1946

«Pan się jemu da poznać», powiedział mi doświadczony przyjaciel, dając adres przemytników. W zawodzie tym nie ma notarialnych aktów, wszystko polega na zaufaniu i interesy robione są ad personam. Stosownie do tego, kto kim jest, można z nim wchodzić w te lub inne układy. Dlatego, zanim

się przystąpi do rzeczy, trzeba się «dać poznać», opowiedzieć coś wogóle o sobie i o tym, jak świat jest zrobiony. Przemysłowcy słuchają uważnie nie przerywając, i — zależnie od tego, co myślą o rozmówcy — przyjmują lub odrzucają jego propozycje.

Ten zwyczaj przemysłowców przychodzi mi na myśl z okazji wczorajszego spotkania z ukrywającym się na wsi sowieckim oficerem. Młody, żywy, przystojny, mój rozmówca jest też wykształcony, ukończył bowiem jeden z sowieckich fakultetów historyczno-filologicznych. Wychowany w warunkach, gdzie niestrożne słowo może mieć niebłizalne następstwa, jest niezmiernie ostrożny i pościągłiwy w rozmowie. Przez dwie godziny rozmawiamy o literaturze i uniwersytetach, i dopiero po tym przezornym wstępie rozmowa nasza przybiera żywy i swobodny charakter.

Ze śmiechem opowiada mi o honorach, z jakimi traktowali go zrazu oficerowie okupacyjni, i o nagłej zmianie ich zachowania, kiedy okazało się, że nie chce wracać do kraju.

— «Na Zachodzie jest już prawie tak samo, jak w Rosji. Od osoby źle widzianej w NKWD wszyscy uciekają, jak od zadżumionego. Nikt nie pytał mnie nawet, czemu nie chcę wracać. Sam fakt, że muszę być źle z NKWD, wystarczał».

Pytam go, czemu żołnierze sowieccy opierają się repatriacji. Udziela mi wyczerpującej odpowiedzi, odbiegającej znacznie od pochlebnego dla Zachodu i rozpowszechnionego tam mniemania, jakoby obywatele sowieccy zostali oczarowani wyższym poziomem stopy życiowej Europy Zachodniej. To, co żołnierze sowieccy widzieli w Europie, i co właśnie mam przed oczami, istotnie mało upoważnia do takich uogólnień.

Według mego rozmówcy, Unii sowieckiej łatwo było wystawić najbardziej przedsiębiorczą armię, gotową iść naprzód, chociażby na koniec świata. Ucisk i terror policyjny osiągnął w 1936-1939 najwyższe napięcie, i wszyscy mieszkańcy Unii marzyli o opuszczeniu miejsca zamieszkania i zejściu z oczu

swoich nadzorców. Wielu najwyższych rangą i tysiące mniej znanych oficerów padło ofiarą czystek i egzekucji, wielu znajdowało się w więzieniach aż do bitwy pod Moskwą. Mój rozmówca przez wszystkie te lata czekał z dnia na dzień areztowania i miał zawsze gotowy swój więzienny tobołek. W tych okolicznościach mobilizację powitano jako dzień wyzwolenia i możliwości ucieczki od wiszącego nad wszystkimi niebezpieczeństwa.

— «W wojsku pełniłem służbę w oddziale rozpoznawczym brygady czołgów. Jakkolwiek regulamin tego ode mnie nie wymagał, starałem się zawsze towarzyszyć żołnierzom w ich wypadach. Dopiero po upływie kilku miesięcy zaczęłam zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego z tym rzemiosłem. Być samemu, przed frontem, z dala od nadzoru, wydawało mi się zrazu czymś upajająco nowym. Tam wreszcie czułem się wolny i stosunkowo bezpieczny».

Pytam go, co myśleli i jak się czuli oficerowie, jadący z więzień na front.

— «Niemcy nie zostawili nam żadnego wyboru. Zwycięstwo ich było równoznaczne ze śmiercią i zagładą. Mobilizacja przyniosła nam nadzieję wolności, i tej nadziei musieliśmy bronić od Hitlera».

Rozmówca mój sądzi, że dla tych samych przyczyn, dla których mobilizację powitano jako wyzwolenie, demobilizacja następczą będzie największe trudności. Kto chciałby wracać do warunków, w jakich zastał go wybuch wojny? Niebezpieczeństwo czystek i terroru zdawało się na pewien czas zażegnane. Anglo-Amerykanie jednak dostarczyli Stałinowi tyle laurów i zwycięstw politycznych, że stanowisko jego zostało bardzo wzmocnione, i powrót do stosunków z 1939 roku wydaje się znów nieunikniony. Jedynym ratunkiem wydaje się nowa wojna lub wytworzenie między Aliantami stałego napięcia, uniemożliwiającego demobilizację i powrót do stosunków przedwojennych. Z tych przesłanek powstała ostatnio w

Unii sowieckiej silna partia wojenna, dążąca do dalszych podbojów, do wykorzystania koniunktury międzynarodowej lub przynajmniej do stworzenia sytuacji, wymagającej stałego pogotowia wojennego, zabezpieczającego armię od czystek i terroru.

Wobec niebezpiecznej tej ewolucji, Anglo-Amerykanie chcieliby wszystkimi drogami popierać Stalina i pojęć polityczną przeciw opozycji wojskowej. W tym celu gotowi byłiby zapewne udzielić rządowi stalinowskiemu większej pożyczki lub nawet wydać tajemnicę bomby atomowej. Wydaje się jednak wątpliwe, aby taktyka ta miała doprowadzić do pożądanych wyników, t.j. do demobilizacji i uspokojenia Unii sowieckiej. Stalin nie może abdykować i wyjechać do przyjaciół na Florydę. Musi utrzymać się za wszelką cenę u władzy. W obliczu trudności musi lawirować, odraczać terminy, nie wiązać się niczym, rezerwując sobie nawet możliwość stanięcia samemu na czele partii wojennej.

Rozmowa nasza schodzi na inne tematy. Młody oficer opowiada mi o swej matce, która sama jedna ocalała z rozgromów i czystek, o swym dzieciństwie. Słuchając go, widzę znaną mi z dawnych lat niezmierną równinę, nad którą rozpostarł się dziś mrok w samo południe.

Wracając do miasta, myślę o naiwności polityków, manewrujących w przedpokoju dyktatora, jakgdyby decyzje o pokoju i wojnie istotnie leżały w jego ręku. Dyktator może rozstrzelać jeszcze jeden milion poddanych, ale nie może ani na chwilę wyrwać się z opisanego już tyle razy mechanizmu czystej dyktatury. Jeżeli mój rozmówca miał rację, rozumiem przyczynę pesymizmu, szerzącego się obecnie w Londynie. Zachód związał się nieopatrznie z obcym sobie i niezrozumiałym mechanizmem czystej dyktatury i myśl jego znalazła się — jak mówił Wells — at the end of its tether. Jakakolwiek obierze taktykę wobec Unii sowieckiej, każda dziś będzie zła.

Augsburg. Miasto szeroko rozrzucone po równinie, dookoła starego centrum między widnymi z dala wieżami kościołów. Podobnie, jak w Monachium, od bomb ucierpiał najbardziej środek miasta. Wszystkie niemal stare domy leżą w gruzach. Dzielnice nowe, zwłaszcza robotnicze, stoją nietknięte. Obraz ten nie jest dziełem przypadku, bo bomby zrzucono precyzyjnie: wśród otaczających je ruin kościoły stoją nieznaruszone. I tu więc chciano jakgdyby oderwać miasto od jego przeszłości związanej z historią protestantyzmu.

Dzień jest suchy i mroźny. Żołnierze amerykańscy grzeją się przy ogniskach rozłożonych na bruku.

W mieście odbywają się nieustanne łapanki. W ciągu dnia muszę się osiem razy legitymować fantazyjnymi dokumentami, które dostałem w Monachium. Żołnierze przetrząsają kieszenie przechodniów w poszukiwaniu papierosów, nie interesując się na pozór niczym innym. Dowiaduję się, że od kilku dni brak im tytoniu, szukają więc go w kieszeniach przechodniów, którym sprzedali go przedtem. Mój zapas papierosów wyczerpał się już wczoraj. W tym samym położeniu znajduje się olbrzymia większość przechodniów. Żołnierze z niezadowoleniem kiwają głowami na widok pustych papierośnic.

Słyszę znów o indywidualnym wydawaniu uchodźców władzom sowieckim. Wielu z nich ukrywa się. Aby się z nimi zobaczyć, należy zwrócić się do miejscowego przedstawiciela nielegalnych, który według swego uznania organizuje ewentualne spotkania. Ponieważ przedstawiciele nielegalnych też nie wywieszają szyldu na ulicy i trzeba umieć ich znaleźć, spotkanie z ukrywającymi się zabiera ją niemało czasu.

Po całonocnej podróży w wagonie bez okien przyjeżdżam do Frankfurtu. Tu również zniszczony jest całkowicie środek miasta. Zbliżając się doń od strony południowej, dojeżdża się

tramwajem tylko do Affentorplatzu. Stamtąd, przechodząc Men po pontonowym moście, należy dostać się piechotą do Hauptwache, skąd można znów dalej jechać tramwajem. Między tymi dwoma punktami idzie się przez pagórki startej na proszek cegły, wśród których przebito krętą ścieżkę dla pieszych. Za punkty orientacyjne służą dwa kościoły, stojące samotnie wśród ruin.

Wieczorem cała ta dzielnica jest ciemna. Wchodząc w labirynt ruin, zapalam kieszonkową latarkę. Z mroku wynurza się kilka postaci, czekających szczęśliwego posiadacza latarki, aby z nim razem przejść na drugi brzeg Menu. Grunt jest nierówny, pełen wybojów i kamieni. Wielu potyka się w mroku, kalecząc ręce o cegły i poplątane żelastwo. Gruzy pokryte są warstwą ciemnego kurzu, który w wilgotne dnie jest lepki. Skaleczenia powalane tą lepką masą stają się punktem wyjścia owrzodzeń i flegmonów. Na każdym kroku widać przechodniów z obandażowanymi rękami, gorączkujących. Całe kolejki ich stoją przed ambulatoriami szpitalów.

Mimo posiadania latarki — rzeczy niezmiernie rzadkiej w Niemczech — i ja mam na rękach i kolanach kilka niegojących się skaleczeń, pochodzących jeszcze z Salzburga i Monachium. Mimo starannych opatrunków w Frankfurcie, skaleczenia te przybierają szaro-brązową barwę i otacza je opuchnięta obwódka. Od miesiąca jem wyłącznie amerykański chleb, smalec i konserwy, mam więc wyraźne objawy awitaminozy.

Wieczorem znajduję w okolicach Frankfurtu dobrych przyjaciół i pierwszy raz od długiego czasu zasypiam w prawdziwym łóżku.

30 1946

Znów wędruję przez ulice Frankfurtu. Dzień jest ciepły i anglisty. Spod gruzów przenika fetor poprzerzywanych prze-

wodów kanalizacyjnych i trupów, rozkładających się w zasypanych piwnicach.

Trudno byłoby dziś odgadnąć, że przez 50 lat ostatnich Frankfurt był miastem, o którym marzyli mieszkańcy Prus. W Frankfurcie nad Odrą, w Kistrzyniu, nawet w Królewcu, tysiące myślały o wyjeździe na Zachód: do Nadrenii, Hamburga, Frankfurtu. Drang nach Osten był politycznym frazesem. W istocie, wewnątrz Rzeszy od 1880 ludność przesuwiała się w kierunku zachodnim. Od czasów Bismarcka, mimo przewagi politycznej Prus, ludność tych ostatnich czuła się źle. Trawił ją niewytłumaczony smutek, który na próżno starano się zwalczyć egzaltując energię i dyscyplinę. Przypominam sobie rozmowę z młodym mieszkańcem Frankfurtu nad Odrą, w pierwszych latach Republiki:

—«Niech pan spojrzy na te grusze po miedzach. Pod każdą zasypany jest jakiś trup. Czy tu można mieszkać? Wszyscy inteligentniejsi i bardziej przedsiębiorczy wyjechali już do Nadrenii. Zostali tylko głupi i niezaradni, jak ja».

Widziany z Prus, Frankfurt był ziemią obiecaną, łączącą w sobie starą kulturę, zamożność i nieograniczone możliwości rozwoju przemysłowego. Dziś brzegi Renu są miejscem zniszczenia i zagłady. Ocalałe z pogromu lotniczego fabryki są demontowane. Ziemia, która dwum pokoleniom wydawała się przyszłością Niemiec, zdaje się dziś nie mieć żadnego jutra.

Tłum, przesuwający się przez Hauptwache, słabe już tylko nosi znaki dawnej zamożności. Szarym porankiem jeziennym wszyscy przechodnie wydają się bladzi i niedożywieni. Jedni idą powoli — w lachmanach — widocznie uchodźcy ze Wschodu — inni spieszą się jednak do jakichś zajęć. Po raz pierwszy w Niemczech widzę kilka kobiet w futrach. Futra te są przeważnie bardzo zniszczone. Delikatniejsze skóry nie wytrzymują dziś nawet jednej podróży koleją.

Zachowały się więc tylko najmocniejsze gatunki, tu i ówdzie łysające wprawdzie, ale chroniące jeszcze od zimna.

Szukam niemieckich znajomych. Młodszy z nich są prze-
ważnie na emigracji, najmłodszy zginęli na wojnie. Zostali tylko
starsi, przywiązani do swych domów pełnych obrazów i mebli
i nie mający już dość siły, aby zaczynać nowe życie na ob-
czyźnie. Zamknięci w swych domach przeciwstawiali hitleryz-
mowi uporczywe milczenie i absentyzm.

Na zrujnowanej ulicy szukam jednego z t.zw. patrycjuszowskich domów, który znałem z czasów Republiki. Na
początku ulicy znajduję kilka domów, noszących jeszcze
numery. Zaczynając od nich, liczę dom za domem i odnajduję
miejsce, gdzie stała niegdyś znajoma fasada. Przedzieram się
przez gruzy oficyn i na miejscu głównego budynku znajduję
krater do połowy wypełniony cuchnącą wodą.

Po kilkugodzinnych poszukiwaniach zdobywam wreszcie
adres moich znajomych mieszkających dziś na odległym przed-
mieściu. Po dłuższej podróży tramwajem trafiam do nowej
dzielnicy, przypominającej nieco warszawską kolonię Staszycy.
Moi znajomi zajmują mały pokoik pod schodami. Umeblowa-
nie jego składa się z żelaznego łóżka, małego stołika, dwóch
krzesel i żelaznego piecyka, służącego także za kuchnię. Stoi
na nim właśnie rondel, stanowiący cały sprzęt kuchenny.

Pani domu poznaje mnie od razu i ze zwykłą uprzejmością
dodaje, że przychodzę w sam czas, bo dziś właśnie jej mąż
obchodzi siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Z krzesła podnosi
się żwawo pan o śmiejącej się jeszcze do życia twarzy satyra.
I on poznaje mnie również. Rozmawiamy o nieobecnych człon-
kach rodziny, rozproszonych na emigracji lub zaginionych. Na
moje pytanie stary odpowiada, że z jego domu i zbiorów nie
pozostało nic.

— «Wyszliśmy tylko w piżamach i nic więcej już nie
posiadamy».

Oczy jego są jasne, bez żadnej skargi lub żalu, być może nawet bez wspomnień.

Krótką rozmowa z człowiekiem, któremu z całego majątku i przeszłości pozostał tylko dzień urodzin, i który przed sobą widzi jedynie nieokreśloną przestrzeń czasu, robi na mnie wrażenie kompozycji surrealistycznej, gdzie na miejscu wszystkich znanych, oszlifowanych przez wieki elementów pejzażu ukazuje się ogromna, niejasna przestrzeń, usiana niepokojącymi znakami.

3 1946

Słowa te piszę na cementowej podłodze schronu kolejowego w Karlsruhe.

Wczesnym wieczorem wyjechałem z Frankfurtu. Licząc się z niespodziankami, przyszedłem na dworzec na dwie godziny przed odejściem pociągu, z biletem wykupionym poprzedniego dnia. W hallu zastałem już około 200 osób, stojących przed wejściem, w kolejce na peron. Pierwsze miejsca w kolejce mogą dostarczać różnych korzyści. Można np. trafić z nich do przedziału posiadającego całe okno. Dla osób, wysiadających przed stacją końcową, przedziały takie nie są jednak bezpieczne, bo nieraz nie można się z nich wydostać na stacjach pośrednich.

Powoli tłum czekających dochodzi tysiąca osób. Na walizkach i tobołkach siedzą cierpliwie postacie, pozawijane w różnego rodzaju łachmany. Do odjazdu pociągu pozostaje jeszcze pół godziny.

Kontrolerzy mają nas właśnie wypuścić na peron, kiedy nadchodzi oddział pomocniczej policji kolejowej w niemieckich mundurach. Policjanci oświadczają, że mamy opuścić dworzec, bo właśnie podany został pociąg dla żołnierzy amerykańskich, jadących na urlop do Szwajcarii. Kiedy Amery-

kanie jadą na ur'lop, dworzec jest tylko dla nich. Inne pociągi, przewidziane na ten czas, po prostu nie odchodzą i czekają aż nowy Herrenvolk wyjedzie do Szwajcarii.

Tłum podróżnych milczy i nie rusza się z miejsca. Po kilku minutach wahania policjanci znajdują wyjście kompromisowe. Przynoszą drewniane bariery, którymi odpychają tłum, robiąc pośrodku hallu szerokie przejście dla żołnierzy armii okupacyjnej.

Po chwili widzę pierwszych Amerykanów. Idą wesoło, każdy niesie w ręku lekki worek z płótna khaki. Niektórzy wydają przeciągłe okrzyki, którym odpowiadają jak echo okrzyki z innych części dworca. Widać, że to nie Europejczycy, bo głosy ich nie są podobne do żadnych znanych mi nawoływań pastuchów starego kontynentu. Nareszcie więc widzę prawdziwych cowboyów.

Wyróżniają się wśród nich żołnierze kolorowi. Idą małymi grupkami, spokojnie i w milczeniu. Przedtem już zresztą zdążyłem zauważyć, że w całej strefie amerykańskiej murzyni robią wrażenie najlepiej wychowanych. Skromni i uprzejmi, wolni od brutalności i arogancji nowych panów świata. Po godzinie Herrenvolk zostaje załadowany, i kolej przychodzi na innych podróżnych. Wszyscy spieszą w obawie, aby spóźniony pociąg nie odjechał bez nich. Kolejarze czekają jednak cierpliwie aż ostatni pasażerowie wtłoczą się do przepelnionych wagonów.

Po dwóch godzinach podróży przyjeżdżamy do Karlsruhe. Dworzec leży daleko od środka miasta, otoczony całą dzielnicą nieoświetlonych ruin. Nawet starzy mieszkańcy Karlsruhe nie odważają się iść do miasta i czekają świtu na dworcu. Dokładna znajomość miejsca jest tu mało użyteczna, bo ruiny są nowe dla wszystkich.

Na dworcu w Karlsruhe znajduje się dobrze zachowany schron kolejowy, t.zw. bunkier. Jest to biegnący pod dworcem tunel, długi około 200 metrów, szeroki na 6 x 10. Z

tunelu dworcowego prowadzi doń wąski, schodzący w dół korytarz. Mijamy trzy ciężkie, żelazne drzwi, zaopatrzone śrubami uszczelniającymi zamknięcie, aby zabezpieczyć schron od pyłu wybuchów i gorąca pożarów. Drugie, podobnie zabezpieczone wyjście prowadzi do ciemnych ruin dworca kolejowego. Schron posiada funkcjonujące jeszcze maszyny, tłoczące doń świeże, lekko ogrzane powietrze, przyzwoite latryny i nawet malutki bufet, w którym można dostać szklankę gorącego rumianku. Wzdłuż ścian stoją drewniane łózka.

Schron zbudowany jest na 600-700 osób. Dziś musi ich mieścić trzy lub cztery razy więcej. Są to nie tylko podróżni. Szukają tu noclegu także bezdomni z miasta. Na łózkach siedzą rodziny z dziećmi i starsze kobiety. Inni siedzą na swych tobołkach lub na cementowej podłodze. Inni wreszcie stoją oparci o ściany.

4 1946

O 7-mej rano pierwsze grupy pracujących zaczynają opuszczać schron. Przez drzwi wychodzące na zgliszcza dworca towarowego widać sinawy świt.

Noce w tunelach i bunkrach są podobne do spędzonych w gorączce nocy szpitalnych. Towarzyszy im to samo skażone przez majaczenie złe poczucie własnego ja, przerywane krótkimi chwilami niespokojnego snu i zakończone uczuciem ulgi na widok rannego brzasku.

Pod szpitalnym chałatem znikają szybko wszystkie różnice społeczne. Każdemu zostaje tylko umęczone gorączką i niepewne przyszłości ciało. Majątki, tytuły i godności zostają za bramą szpitala, i pamięć o nich nie przynosi żadnej ulgi, ani nadziei. Te samo na dworcu w Karlsruhe: żadne bogactwa, ani tytuły, nie mogą dać przyjezdnym noclegu ani wyżywienia. Posiadacze walizek pełnych złota, hrabiowie świętego impe-

rium rzymskiego, czy bezdomni uchodzący z fałszywymi papierami, wszyscy idą na noc do bunkra. Pod zmiętą i wytartą w tłoku odzieżą znikają różnice powstałe z majątku i pochodzenia. Przez krótki czas zarysowują się jeszcze różnice w odporności fizycznej, ale wkrótce znikają i te. Wszystkich bierze w swą władzę to samo majaczenie, w którym granice dzielące ludzi jednych od drugich i od świata zewnętrznego, stają się niejasne i płynne.

Niwelacja społeczna zmieniła całkowicie obyczaje niemieckie. W przypadkowych grupach nawiązują się natychmiast rozmowy. Jak w powieściach Dostojewskiego, każdy opowiada swą historię. Wystarczy słuchać przez pół godziny, aby znać przeszłość i charakter wszystkich sąsiadów. Po chwili spostrzegam, że ja sam tylko zachowuję jeszcze pewną rezerwę. W niektórych grupach słychać nawet śmiech, bynajmniej nie ironiczny, ale dobroduszny, szczery, nerwowo odprężony śmiech.

Śmiech ten słyszałem już nieraz w ciągu obecnej podróży. Rozmawiałem o nim z przyjaciółmi i znajomymi. Zjawisko to odsłania różne aspekty niwelacji społecznej. W katastrofie, która obróciła w gruzy nie tylko miasta, ale także budowę społeczną kraju, rozluźniły się tysiączne więzy, zmuszające przedtem do ostrożności i rezerwy. «Czy to nie zaszkodzi mojej karierze?». «Co pomyślą o mnie zamożniejsi sąsiedzi?». «Czy moja żona nie powie jakiegoś głupstwa?». Wszystkie te pytania straciły nagłe swój sens i rację bytu. Razem z nimi znikło to, co Freud nazywał «das Unbehagen in der Kultur». Na zgłiszczach swej cywilizacji Niemcy poczuli się straszliwie swobodni.

Resztki opanowania i rezerwy stopniały wśród nocy spędzonych na wspólnie przeżywanych gorączkach i majaczeniach, gdzie nie można więcej ukryć słabości udręczonego ciała, i gdzie wstydlivość cofa się przed koleżeństwem.

Z rzadka już tylko widać osoby, które nie przeszły przy-

musu braterstwa. O kilkanaście kroków przede mną stoi oparta o ścianę młoda, elegancka kobieta w kape'uszu i futrze. Stoi wysoka, dumna, zamknięta w sobie, zdecydowana raczej stać całą noc, niż usiąść na cementowej podłodze wśród łachmanów i tobołów. Czas dłuży się jej bardzo. Koło północy patrzę na nią znów. Zamknęła oczy, aby lepiej izolować się w świecie, istniejącym w jej myś'ci. W dwie godziny potem widzę ją z otwartymi oczami, z lekka zgarbiona, z opadłymi ramionami, znużona bardzo. Wzrok jej obiega uparcie skrawek cementowej podłogi pod jej stopami. Widocznie podłoga stała się dla niej nieodpartą pokusą, z którą walczy ostatkiem sił. Wiem, że gdybym ofiarował jej moje na pół leżące miejsce, przebudziłaby się jeszcze z koszmaru i odrzuciła je ze wzdardą. Mijają nieskończone, długie godziny. Strzałki zegara posuwają się tak powoli, że kilkakrotnie sprawdzam, czy nie zatrzymały się zupełnie. Kiedy wreszcie podnoszę oczy, sylwetki kobiety w futrze już nie ma. Siedzi na ziemi z głową wtuloną w ramiona.

Obok mnie leży młoda robotnica, którą wziąłem za rękę i posadziłem obok mnie na ziemi, kiedy staniając się na pół niewidoma, przechodziła w głąb bunkra. Czuć od niej dławiący zapach gorączki, fenolu i septycznych ran. Ma obandażowaną rękę, którą wczoraj operowano w ambulatorium.

O zmroku spotyka się często przechodniów, ogarniętych nagłą ślepotą i chwytających się murów. Jest to bądź t.zw. kurza ślepotą anemicznych, bądź skutek schorzeń oczu, wywołanych przez bombardowanie. Wybuchy bomb rzucają z wielką siłą starte na piasek cegły i cement, które wbijają się w rogówkę.

Zasypani w piwnicach i uciekający z płonących domów nie mają czasu oglądać swych oczu, i dopiero w kilka dni później uporczywy ból głowy daje im znać, że zapalenie rogówki, wywołane tkwiącymi w niej fragmentami cegły i cementu przeniosło się w głąb oka, powodując zapalenia tęczówki

W tym stadium schorzenia usunięcie z rogówki obcych ciał wymaga delikatnych zabiegów, pozostawiających blizny, które powodują ślepotę o zmierzchu.

Pod przeciwległą ścianą leży na podłodze kilku młodych chłopców w strzępach letnich mundurów. Półgłosem przypominają sobie epizody zimowej ofensywy Rundstedta w Luksemburgu, jedynej operacji, w której brali udział w krótki czas po wcieleniu do wojska. Chłopcy ci wydają się jeszcze biedniejsi od gorączkujących i niewidomych, obarczeni kalectwem hitlerowskiego wychowania i drapieżności, z których dziś została im tylko żrąca pustka wewnętrzna.

Podobnie jak w szpitalach, nie widać tu wcale osób t.zw. nerwowych i niecierpliwych. Wszyscy zdają się być nieskończenie cierpliwi, życzliwi wyrozumiali. Czy jest to nabyta w schronach dyscyplina koleżeństwa? Być może, ale jest to tylko jeden z aspektów tego zjawiska. Znajdujemy się tu w nowych i nieznanych dotąd warunkach gospodarczych i społecznych. Posiadanie złota nie daje żadnych korzyści, w braku towarów poza skromnym przydziałem żywności, która praktycznie niemal nic nie kosztuje. Jeśli ktoś zgubił portfel, towarzysze podróży dają mu bez wahania trochę banknotów, których miliardy znajdują się w obiegu. Nieliczni posiadacze prowiantu dzielą się nim zazwyczaj z sąsiadami. Jedynym towarem, znajdującym się jeszcze na rynku, jest życzliwość towarzysza niedoli, której kupić nie można, i na którą trzeba rzetelnie zasłużyć.

Proces ponownego wychowania Niemiec, o którym tyle mówiono, zaczął się samorzutnie, w formie przystosowania do wyżej opisanych warunków. Widać w nim zadatki nowego szacunku dla życia i godności człowieka.

Czy te zawiązki nowej moralności, zrodzonej w otchłannym życiu ruin i podziemi, znajdują jakieś szanse dalszego rozwoju? Pytanie kapitałnej wagi, kiedy uprzytomnimy sobie, w jakiej mierze los kontynentu zależał dotąd — a zapewne będzie

zależał i w przyszłości — od wewnętrznej ewolucji Niemiec.

Po miesięcznym pobycie w Niemczech nie znajduję na to pytanie żadnej jasnej odpowiedzi. Po drodze widziałem mało rzeczy uprawniających do optymistycznych przewidywań.

Okupanci nie mają danych do wychowania Niemiec i od pewnego czasu nie zdradzają nawet w tym kierunku większej ambicji. W zachodniej części kraju wojska okupacyjne mają tylko jedno życzenie: jaknajprędzej opuścić kraj, w którym życie stało się nieznośne dla wszystkich. Wszyscy mają wrażenie, że okupując, Niemcy wzięli na siebie zobowiązania, którym nie umieją sprostać. Łatwiej było jednak zdobyć ten kraj, niż zeń wyjść. Niemcy stały się pułapką dla poróżnionych zwycięzców. Żaden z nich nie odważa się wyjść, bo miejsce jego zostanie natychmiast zajęte przez stronę przeciwną.

Niemcy same wciągają się powoli w tę grę sił. W miarę trwania rywalizacji między zwycięzcami, obie strony będą musiały w sposób nieunikniony w coraz większej mierze uwzględnić rolę Niemiec, jako przyszłego sojusznika. W perspektywie czystej gry sił największe dane na objęcie stanowiska wychowawców Niemiec będą mieli znów pruscy oficerowie.

Podróż moja zbliża się do końca. Czeka mnie długa droga powrotna. Jeszcze bardziej od przepelnionych wagonów i nieprzespanych nocy ciąży mi myśl o trwającym nadal zaślepieniu narodów i wygaśnięciu w nich wszelkiej twórczej wyobraźni.

9 1946

Jestem znów w górach, które przeszedłem przed miesiącem. Wiele się tu od tego czasu zmieniło. Niebo jest szare. Góry pokryte są nowym, głębokim śniegiem. Wszystkie przepustki unieważniono. Przejść pilnują patrole. Decydują się jechać do B... O zmroku jestem w domu znajomego przemytnika.

— «Czy po tym śniegu można przejść na tamtą stronę?».

— «Jak komu».

— «Na przykład mnie».

Stary patrzy na mnie przez chwilę uważnie i zniża głos.

— «Mój syn przeprowadzi pana jutro z rana do T...».

Wstajemy o 4-tej z rana. Dokoła nóg okręcam ciężkie owijacze mego gospodarza i na watowaną kurtkę wkładam jego białą bluzę z kapturem. Rozdaję resztę rzeczy, płaszcz, walizkę etc. Z górskich przejść wychodzi się najczęściej jak z jaskini rozbójników bez bagażu. Zostaje mi plecak a w nim śpiwór, koszula, pończochy, kilka książek, notatnik, funt chleba, pudełko smałowu, dwie cebule — podarunek przemysłowca — pudełko ekstraktu z kawy i trochę cukru. Kto wie, czy w T... znajdzie się coś do jedzenia.

Idziemy z początku drogą przez las, potem ścieżką. Przed świtem rzucamy ścieżkę i zaczynamy wchodzić powyżej lasu na grani, brnąc powoli w głębokim śniegu. Idziemy w milczeniu, wciąż granią, z dala od lawiniastych stromizn. Zaczyna świtać. Po śniegu wloką się leniwe obłoki. Idziemy w nich niemal po omacku, kierując się nierównością gruntu. Mija jeszcze godzina, zegarek wskazuje 8.30.

Obłok, w którym idziemy, podnosi się, odsłaniając przełęcz. Widok złowieszczy. Czarna gardziel skał oblepionych półkami śniegu. Latem tam przechodzi ścieżka. Wskazuję na nią ręką z przeczącym ruchem głowy. Mój przewodnik pokazuje mi stok góry powyżej skał, o jakieś dwieście metrów nad nami. Patrząc na jego młodą, różową od zimna twarz i beztroskie oczy. Przychodzą mi na myśl wszystkie szczegóły studiowanej wieczorem mapy. Na południowym stoku same ściany. W jednym tylko miejscu podwójny uskok ścian tworzy ukośną półkę, po której można zejść na główną ścieżkę. Tę drogę trzeba znać na pamięć, aby ją znaleźć pod śniegiem. Oblodzona — jest nie do przejścia bez raków. Jak ten pogodny chłopiec zachowa się przed nieprzewidzianą przeszkodą?

Spostrzegam, że i on przygląda mi się uważnie, jak jego ojciec poprzedniego wieczora. Widocznie myśli też: czy on temu da rady? Uśmiecham się doń i wyciągam rękę.

— «Nie bój się, Janku. Nie goń tylko za prędko».

Janek uśmiecha się też, mrużąc jedno oko, jak jego ojciec.

Mijają jeszcze dwie godziny. Wspinamy się zakosami, powoli, równomiernie. Uważam na oddech, staram się stawiać stopy lekko i metodycznie.

Za zakrętem wyrasta przed nami czarna ściana kłębiących się chmur, które ze świstem wychodzą, niby spod ziemi. To ciepłe powietrze, wznoszące się po południowym stoku ścina się w zetknięciu z mroźnym powietrzem szczytów. Jesteśmy na samej przelęczcy.

Wchodzimy ostrożnie w gęstniejący mrok. Skały, niegdyś bielejące w zielono-brązowych polach borówek, wystają dziś czarne i groźne z mokrego śniegu. Szukamy wśród nich drogi, zapadając głęboko w śnieg. Schodzimy ostrożnie pod nawisającymi półkami. Zejście robi się coraz bardziej strome i kamieniste. Wreszcie chmury rzędą i w dole widzimy niebieskawe światło. W pół godziny dochodzimy do brzegu chmur i stajemy w jarzącym słońcu. Śnieg kończy się o sto metrów niżej. Ziemia schodzi olbrzymimi skokami terenu, wciąż niżej. Przed nami kilka poprzecznych coraz niższych łańcuchów wzgórz, kędzierzawych żółto-zielonym lasem, a dalej bezmiar przestrzeni przysłoniętej szarobłękitną kurzawą.



DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ W
INSTYTUCIE LITERACKIM
W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄZKI:

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Pielgrzymstwa i Narodu
Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

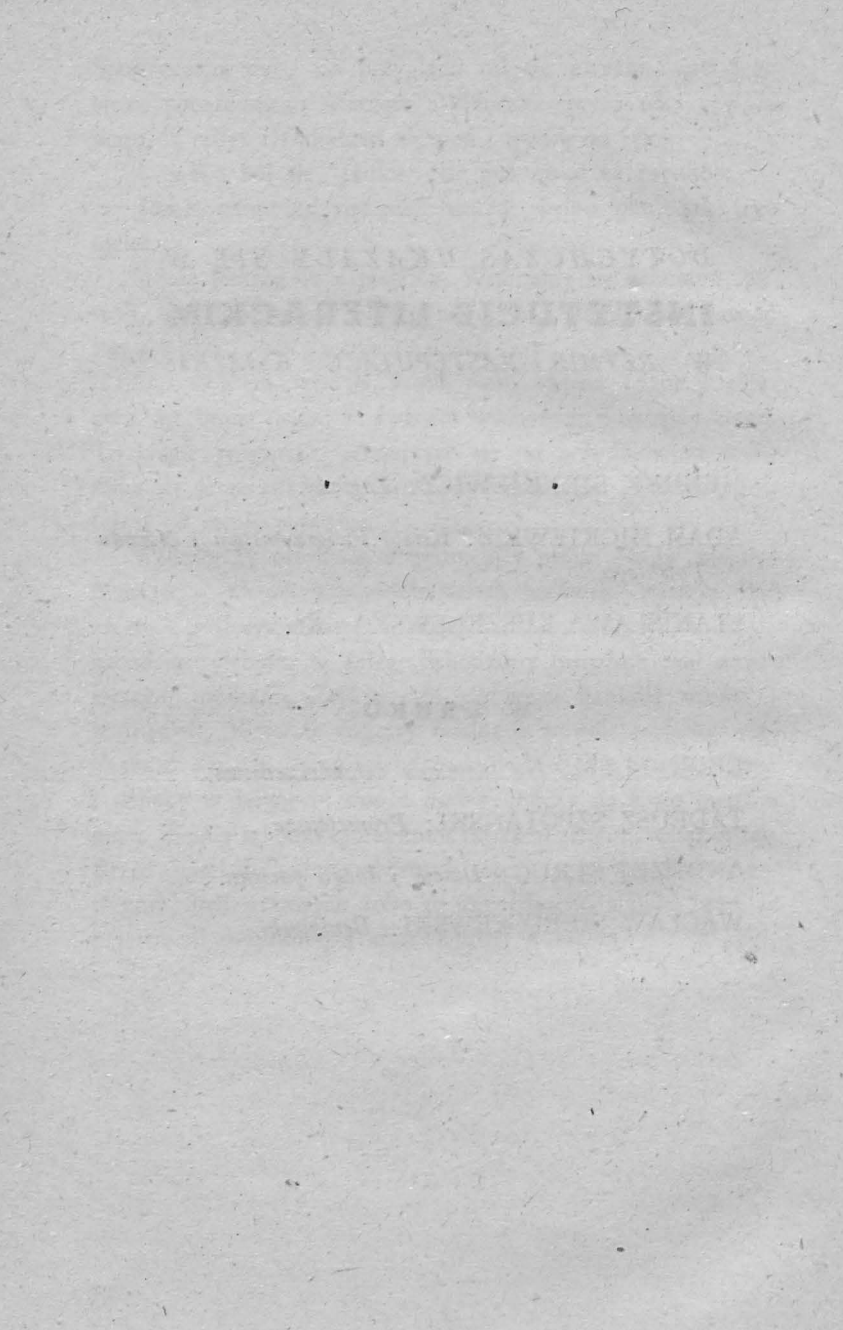
W DRUKU:

LEON BLUM: *Na poztomie człowieczeństwa.*

TADEUSZ SZPOTAŃSKI: *Prometeusze.*

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*



*Przedstawicielstwo wydawnictw Instytutu Literackiego na
W. Brytanię posiada:*

Vistula Press Ltd., 45 B. Cromwell Road, London S.W.7.

W. E.
5



